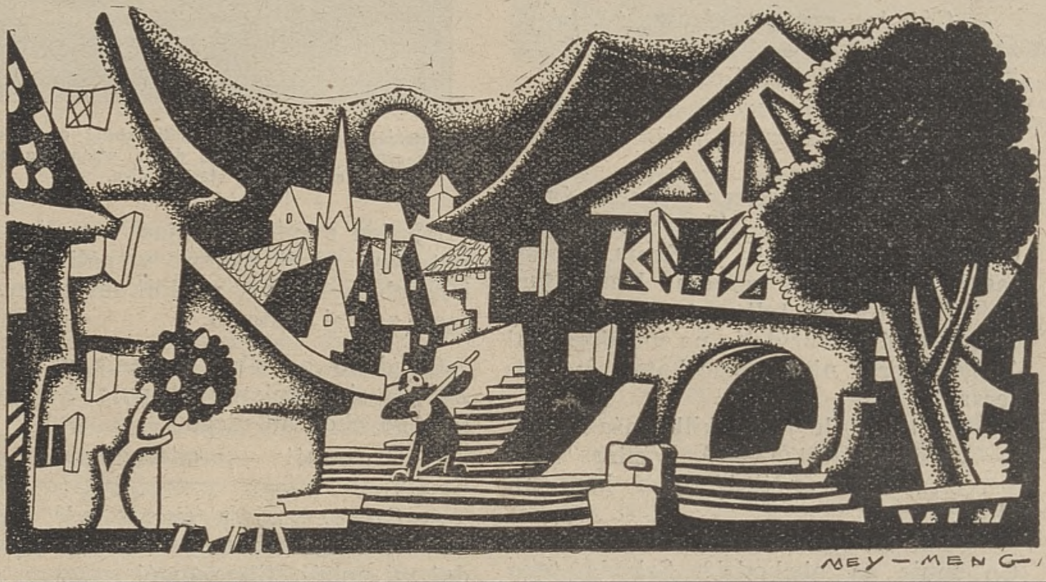
Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. **Niedziela, dnia 10 maja 1936 r.** Nr. 19



W STAREM MIEŚCIE

Staremi uliczkami, pełnemi wyboi,
Błądzę czasem samotnie, jakąś nocną porą,
Gdy chmury poszarpane wiatr po niebie goni,
Susząc wielkie kałuże i chłodząc me czoło.
W ciszy, co mnie otacza, słyszę własne kroki,
Na domach cień mój tylko jest mi towarzyszem
W sen świat zapada mocny, słodki i głęboki,
A wiatr ciepły mu śpiewa, pieści i kołysze...
Idę przed siebie zwolna i patrzę w podziwie
Na zapleśniałe mury latami zużyte,
Na frontony w kamieniu rzeźbione przedziwnie,
Wykusze stare, freski nad bramą ukryte.
Dzikiem winem obrosłe wysmukłe arkady
Rysują się w ciemnościach w podworcach za wartych,
Srebrnym blaskiem nad niemi płonie księżyc blady,
Szukając jakichś śladów już dawno zatartych...
Wysoko na strzelistych wieżach zawieszone
Zegary wydzwaniają mistyczną godzinę —
Echem odbrzmiały mury, kamienie zbudzone.
Czy dźwięk ten przepowiada im może ruinę?

Marja Naturska, Kraków.

MARJAN BRONISŁAWSKI

18)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

Nadszedł wieczór. W „Rajskim kąciku“ zaczął się zwykły ruch i przygotowania do nocnej zabawy. W sali zajaśniały światła żarówek. Olbrzymi murzyn, Sam, ubrany w kapotę z błyszczącemi guzikami, zajął swe zwykłe miejsce u drzwi zakładu, kelnerki kręciły się wśród stolików, porządkowały i poprawiały nakrycia, lub zmieniałykwiaty w wazonach.

Działo się to wszystko pod bacznem okiem gospodyni, która siedząc na podwyższeniu za bufetem, całą salę mogła odrazu objąć wzrokiem. Gospodarza jeszcze nie było. Przez cały dzień nikt ze służby nie widział Hardena, co zresztą nikogo nie dziwiło, gdyż często się zdarzało, że wyjeżdżał do miasta i wracał dopiero późnym wieczorem.

Przed frontowe drzwi karczmy zajechał na rowerze chłopiec rozważący gazety i rzuciwszy na schódki paczkę pism, odjechał dalej. Murzyn poważnie schylił się po gazety, podniósł paczkę i zaniósł ją, jak co wieczór do sali, gdzie położył pisma na bufecie.

Hardenowa sięgnęła po gazetę. Na pierwszej stronie widniały przez całą szerokość wydrukowane ogromnemi literami tytuły obszernego artykułu:

„POTWORNA ZBRODNIA NA PODMIEJSKIEJ DRODZE.

PIOTR WINTERS OFIARĄ RABUNKU I MORDERSTWA.

MŁODY REPORTER, STEFAN LUBICZ, UWIĘZIONY, JAKO PODEJRZANY O DOKONANIE MORDU“

Z zapartym oddechem Greta przeczytała szczegółowy opis zbroni i zabrawszy wszystkie przyniesione pisma, pobiegła na górę do pokoju męża. Nie widziała go przez cały dzień, gdyż Harden po awanturze z Haneczką, wściekły na dziewczynę, siebie, cały świat i odurzony wódką i podrapany, zamknął się w pokoju i nasmarowawszy twarz jakąś gojącą maścią, rzucił się w ubraniu na łóżko i spał, chrapiąc przeraźliwie.

Greta ujęła za klamkę i silnie potrząsła drzwiami.

— Mike! — zawołała głośno. — Wstawaj! Już chyba pora żebyś zeszedł na dół! Otwieraj drzwi, mam coś ważnego do powiedzenia.

W pokoju chrapanie ucichło i dał się słyszeć niewyraźny mruk znudzonego.

— Otwieraj! — wołała dalej. Przyniosłam gazety, dowiesz się czegoś nadzwyczajnego!

Harden odrazu domyślił się, że w gazetach musiała być już wiadomość o śmierci Wintersa, ale nie wydawał się z tem. Otworzył drzwi i wpuścił żonę do pokoju.

Spojrzała na niego i widząc podrapaną twarz, zawołała:

— A tobie co się stało? Biłeś się z kim, czy co? Cały policzek masz podrapany.

— Przewróciłem się w piwnicy na schodach i tak się ustroiłem — odpowiedział. — Gdzież te gazety? Pokaż!

Rzucił okiem na pierwszą stonicę pisma i udał ogromnie zdziwionego.

— Piotr Winters! — zawołał. — Toż on tu przychodził... Wczoraj nawet siedział tu do północy... No... no... Ktoby się spodziewał?...

Nagle Hardenowa położyła mu rękę na ramieniu i patrząc mu prosto w oczy rzekła twardo:

— Słuchaj, Miko, ty wiesz coś o tem. Nie ukrywaj przedemną... Ten Winters, jak sam mówiłeś, miał przy sobie majątek w postaci drogich kamieni...

— Cóż to, czy posądzasz, że ja go zamordowałem? — przerwał jej. — Zwarjowałaś chyba, Greto.

Czytając dalej gazetę, spostrzegł ustęp o aresztowaniu na miejscu zbrodni Stefana Lubicza.

— Już mają morderce — rzekł, śmiejąc się w duchu. — To ten reporter, co tu raz dostał baty od Sama, pamiętasz? Jakiś dawny znajomy Hanki Burke. I pomyśleć tylko, że taki niepozorny gość odważył się na morderstwo! Znaleźli przy nim drogie kamienie Wintersa...

— A tak. Ale tylko kilkanaście sztuk — wtrąciła Greta. — A Winters miał przecież znaczną ilość tych kamieni. Hm...

— Pal go djabli razem z kamieniami. Co mnie to obchodzi? Szkoda tego Wintersa, bo przychodził od czasu do czasu i zawsze zostawiał kilkanaście dolarów. Idź, Greta, na dół do sali. Ja dziś nie zejdę. Głowa mnie boli i chcę dobrze wypocząć. Jutro muszę zaraz rano jechać do miasta. Przynieś mi tylko co do zjedzenia i butelkę.

Hardenowa chciała zabrać ze sobą przyniesione gazety, gdy mąż zatrzymał ją, mówiąc:

— Zostaw te pisma u mnie. Lepiej będzie, żeby Hanka nie dowiedziała się o zamordowaniu Wintersa, bo to przecie jej powiernik i przyjaciel. Znajomy ojca. Zmartwiłaby się i nie mogłaby tańczyć. Dowie się jutro, a dziś gazet niech nie czyta.

Tak się skończyła rozmowa małżonków o śmierci Wintersa.

Gdy Greta wyszła z pokoju, Harden zagłębił się w czytanie opisu zbrodni, a doszedłszy do miejsca, gdzie opisywano aresztowanie Stefana, zaśmiał się dziko i zatarł ręce.

— Doskonale — mruknął. — Mam szczęście. Teraz śledztwo pójdzie w kierunku tamtego. Posiedzi sobie jakiś czas, i jak dobrze pójdzie, gotowi go skazać, bo, jeżeli to prawda, co tu czytam, dowody przeciw niemu są poważne.

Wkrótce Greta zjawiła się z kolacją, którą przyniosła na tacy. Postawiła na stole, posiedziała chwilkę i poszła na dół, mówiąc, że goście niedługo zaczną się schodzić, więc jej obecność na sali jest potrzebna.



Wzruszające spotkanie... Po kilkuletniej nieobecności wraca syn w odwiedziny do domu, witany na progu chaty przez starego ojca.

Harden z apetytem zjadł przyniesione potrawy, popił winem, wypalił cygaro i rozebrawszy się, po kilkunastu minutach zasnął nanowo.

Obudziło go silne pukanie w drzwi. Zerwał się i gniewnie zapytał kto puka i czego chcą od niego.

— Otwieraj! — odezwał się głos Grety.

— Czegóż znowu chcesz ode mnie? Powiedziałem, że dziś nie wstanę, więc daj mi pokój. Chcę spać!

— Otwieraj! — powtórzyła Greta, szarpiąc klamkę. — Hanki niema w domu. Szukam jej od godziny. Zdaje mi się, że uciekła.

— Nie może być — odpowiedział Harden. — Gdzieżby ona poszła? Tembardziej teraz, gdy Winters nie żyje...

Szybko ubrał się, i zawiązawszy twarz chustką, jakby go zęby bolały, rozpoczął poszukiwanie Haneczki po całym domu i podwórku. Nie znalazł jej nigdzie.

Wszedł do kuchni i wpadł jak burza na Marję-Annę.

— Gdzie Hanka? — huknął murzynce nad uchem.

Marja-Anna upuściła ze strachu patelnię, na której smażyła naleśniki.

— Gdzie Hanka, ty stara czarownico? — krzyczał gospodarz. — Przesiadywała tu wiecznie u ciebie, to musisz wiedzieć, gdzie się podziała. Gadaj zaraz!

— Nie widziałam jej od rana — odpowiedziała stara. — Niech pan nie krzyczy na mnie, bo nic złego nie zrobiłam...

Harden zmierzył ją złem okiem i trzasnawszy drzwiami opuścił kuchnię.

— Całuj psa w nos — mruknęła murzynka po wyjściu pana. — Znajdź ją, kiedyś taki mądry, bo ode mnie dowiesz się tyle co od pieca.

Haneczka przez dzień cały szykowała się do ucieczki. Uchodząc z domu

Hardenów, nie chciała zabierać żadnych rzeczy, oprócz tego, co miała na sobie. Wybrała więc najskromniejszą, ciemną sukienkę, przygotowała sobie czarny berecik i stary płaszczyk i gorączkowo oczekiwała nadejścia wieczoru. Gdy ściemniło się zupełnie, właśnie w chwili, kiedy Greta dobijała się z gazetami do drzwi sypialni męża, wymknęła się chyłkiem przez podwórzową furtkę i szybko pobiegła na drogę wskazaną w karteczce Wintersa.

Deszcz padał od kilkunastu godzin i wszędzie było mokro i błotnisto. Haneczka szła nie drogą, tylko obok drogi, brnąc często po kostki w wodzie.

Gdy dotarła do pierwszej poprzecznej drogi stanęła i niespokojnie rozejrzała się dokoła. Żadnego samochodu nie było widać w tem miejscu.

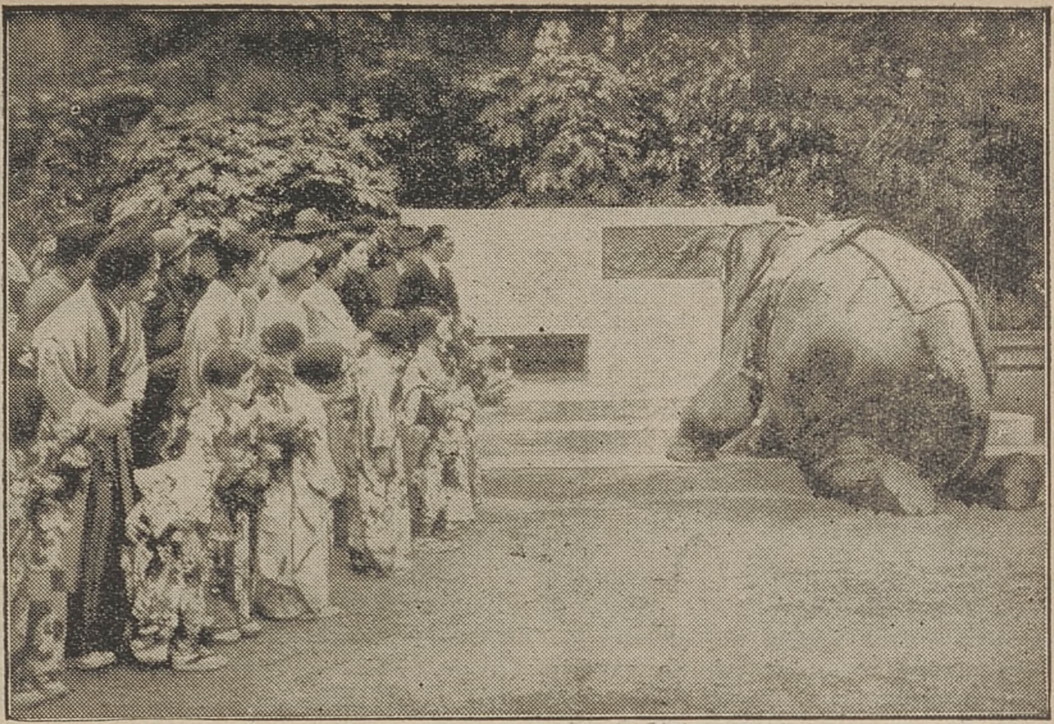
— Może jeszcze nie przyjechali — pomyślała i serce zaczęło niespokojnie uderzać w jej piersi. Ciemno było dokoła i deszcz padał coraz gęstszy. Stała kilkanaście minut w miejscu, gdzie drogi się przecinały, i czekała.

Co jakiś czas przejeżdżały samochody, ale żaden z nich nie zatrzymywał się. Coraz większy niepokój ogarniał Haneczkę. Przemoknięta i zziębnięta, poczuła, że dłużej na deszczu niepodobna czekać, i postanowiła iść naprzód, w kierunku stacji tramwaju międzymiastowego.

— Może spotkam ich po drodze. Napewno będą uważać na przechodzących i zauważą mnie — myślała i szła coraz szybciej, starając się ruchem rozgrzać zziębnięte ciało.

Po półgodzinnym marszu doszła do torów tramwajowych i w niewielkiej odległości spostrzegła małą poczekalnię, noszącą wśród okolicznych farmerów szumną nazwę stacji. Była to prosta buda, sklecona z desek, nie mająca drzwi ani okien, tylko trzy ściany i dach, postawiona, aby czekający na tramwaj pasażerowie mieli gdzie schronić się przed deszczem lub śniegiem.

Rada, że może dostać się pod jakikolwiek dach, weszła do budy i usiadła na ławce. Na podłodze poczekalni i na ławkach walały się porozrzucane gazety, zostawiane widocznie przez pasażerów. Stojąca przed budą latarnia rzucała do wnętrza silne światło elektrycznej żarówki, przy którem Haneczka, patrząc bezwiednie w leżącą tuż przy niej gazetę, przeczytała wielkiemi głoskami wydrukowane nazwisko Winters. Zaciekawiona do najwyższego



W Tokio odbyła się niezwykła uroczystość, w której brało udział 3000 dzieci szkolnych. Przy tamtejszym pomniku dla „Zmarłych Zwierząt" przyklęka sławny sjamski „Mass Hanako", by w ten sposób złożyć hołd swoim zmarłym towarzyszom.

stopnia, podjęła gazetę i podszedłszy bliżej latarni, przeczytała tytuły nad opisem morderstwa.

Szeroko otwartemi oczyma przebiegła kilkakrotnie tytułowe wiersze strasznej wiadomości. W głowie pomieścić się jej nie chciało, żeby to było prawdą, by Winters, ten Winters, który znał jej ojca, który od niego do niej przyszedł, który miał ją zabrać od Hardenów i umieścić w New Yorku — żeby ten jej przyjaciel, do którego odnosiła się z całem zaufaniem, miał już nie żyć.

Nagle wzrok jej padł na podobiznę młodego człowieka, pod którą widniał napis „Stefan Lubicz, aresztowany na miejscu zbrodni". Z zapartym oddechem starała się czytać dalej, ale nie mogła. Załzawionemi oczyma wpatrywała się w czarne głoski pisma i usiłowała zebrać myśli, które z chaotyczną szybkością przez głowę jej przelatywały.

Niezmiernym wysiłkiem woli wstrzymała ogarniającą ją rozpacz i nie zważając na gęsty, zimny deszcz, podeszła pod samą latarnię, by przy jej świetle przeczytać cały opis morderstwa. Przyćmione łzami oczy z trudnością rozpoznawały głoski i składały je w wyrazy, które boleśnie zadawały jej niewypowiedziane męki.

Przeczytawszy do końca, wypuściła z rąk zmokniętą gazetę i przymknęła oczy, zmęczone czytaniem przy niedostatecznem świetle. Rękami przycisnęła skronie i stała nieruchoma, bezradna, milcząca.

Poczuła się nagle samą, opuszczoną przez świat i ludzi, rzuconą na pastwę okrutnego losu. Zrozumiała, dlaczego Winters i Stefan nie czekali na nią w umówionem miejscu. Nie myśląc co robi, weszła spowrotem do poczekalni, siadła na ławeczce i przytuliwszy się do zimnej ściany, zaczęła płakać rzewnemi łzami.

— Co robić... co robić? — plątało się jej po główce pytanie.

Do domu Hardena pod żadnym warunkiem nie byłaby wróciła, szczególnie teraz, po rannem zajściu z opiekunem. Znajomych nie miała, prócz Stefana i Wintersa, i oto Winters został zamordowany, a Stefan, jej Stefek, o którym zawsze myślała, znajduje się w więzieniu pod strasznem oskarżeniem.

I przyszło jej na myśl, że ona sama jest pośrednią przyczyną śmierci Wintersa i aresztowania Stefana, gdyż odrazu domyśliła się, że tym, który zamordowali Wintersa, chodziło tylko o te drogie kamienie, jakie przywiózł dla niej. W winę Stefana nie wierzyła, zbyt dobrze bowiem znała poczciwy i szlachetny charakter tego przyjaciela jej dziecinnych lat, by choć na chwilę przypuszczać, że byłby zdolny do zabicia człowieka. Rozpacz ją ogarniała na myśl, że ten Stefek, którego kochała całą mocą swego niewinnego serca, musi teraz cierpieć w więziennej celi, teraz właśnie, kiedy po wielu miesiącach niewidzenia się miała go zobaczyć, porozmawiać z nim jak dawniej, jeszcze w newjorskiej siedzibie Hardenów.

Instynktem wiedziona przeczuwała, że sprężyną, która spowodowała napad na Wintersa, był Harden i na myśl o tym człowieku przejmował ją strach śmiertelny i groza.

Znużona i zziębnięta, wyczerpana płaczem, skłoniła zmęczoną głowę i zasnęła w tej pustej i zimnej poczekalni tramwajowej snem zmordowanego, opuszczonego dziecięcia.

Widno już było na dworze, gdy zbudziła się, skostniała i nawskroś przeziębnięta. Deszcz przestał padać i złote promienie słońca oblewały całą okolicę, wywołując z mokrych pól tumany mgły, która unosiła się nad ziemią jak przejrzysta zasłona, z każdą chwilą rzedniejąca w słonecznym blasku.

Haneczka wyszła przed poczekalnię i rozejrzała się dokoła. Zbyt rano jeszcze było na jakikolwiek ruch na drogach. Z dali dobiegał ją odgłos zbliża-

jącego się tramwaju międzymiastowego.

Szybko odeszła od przystanku i siadłszy na pieńku ściętego drzewa w pobliskich zaroślach, pogrążyła się w rozmyślaniu, grzejąc się w łagodnem cieple słonecznych promieni. Uprzytomniwszy sobie fatalne położenie, w jakiem się znalazła, postanowiła dostać się do New Yorku i odszukać matkę Stefana, o której wiedziała, że mieszka gdzieś w Brooklynie. Ze znalezionej w nocy gazety dowiedziała się, że Stefan był reporterem w jednym z większych dzienników New Yorku, i umyśliła iść do biura tego pisma i dowiedzieć się o jego adres.

Nie mając przy sobie ani centa, nie mogła myśleć o jeździe do miasta tramwajem, więc poszła do najbliższej drogi i kierując się napisami na przydrożnych tabliczkach, puściła się pieszo w kierunku New Yorku.

Na drodze rozpoczynał się zwykły ruch samochodowy. Przejeżdżały duże ciężarowe maszyny naładowane bańkami z mlekiem, podmiejscy ogrodnicy wieźli do miasta jarzyny i warzywa, autobusy wiozły gromady robotników do podmiejskich fabryk.

Haneczka szła wolnym krokiem, starannie wymijając kałuże, pozostałe po nocnym deszczu na bokach drogi. Nie przyzwyczajona do długich spacerów, rychło się zmęczyła i co kilkanaście minut musiała odpoczywać na przydrożnych kamieniach. Podczas jednego z takich przystanków usłyszała nagle głos przejeżdżającego kierowcy wielkiego ciężarowego samochodu:

— Hallo! Czy może do miasta?

W tej chwili zatrzymał się tuż przed nią samochód. Podniósłszy oczy, ujrzała sympatyczną twarz starego siwego człowieka, którego głos przed chwilą słyszała.

— Jeżeli pani idzie do New Yorku, mogę podwieźć — rzekł łagodnym głosem. — Widzę, że jesteś zmęczona, moje dziecko — dodał uśmiechając się — a zawsze lepiej jest najgorzej jechać, niż najlepiej iść. Prawda? Jest miejsce obok mnie, a choć siedzenie twarde, w każdym razie wygodniejsze niż ten kamień, na którym siedzisz...

Uśmiechnęła się smutno i wstała.

— Do miasta idę — rzekła — i jeżeli pan łaskaw, chętnie skorzystam z pańskiego zaproszenia.

— Doskonale — odparł. — Proszę siadać. Za godzinę będziemy w granicach miasta.

Bez wahania usiadła obok kierowcy. Samochód ruszył.

— Dlaczego to idziesz na piechotę tak daleko, moje dziecko? — zaczął uprzejmy mleczarz. — I to jeszcze tak wcześnie?

Chciała coś odpowiedzieć, ale łzy zakręciły się jej w oczach i milczała.

Mleczarz spostrzegł, że wprowadził ją w zakłopotanie swem pytaniem, i chcąc naprawić błąd, rzekł:

— No, no... Nie chcę wiedzieć co cię spowodowało do takiej rannej wycieczki. W każdym razie cieszę się, że mogę ci choć tym sposobem pomóc. Wyglądasz, moje dziecko, na dobrą dziewczynę, a dlaczego idziesz piechotą, to już twa rzecz.



W Burgu nad Bremem przybił do portu nowy jacht żaglowy „Roland von Bremen", który jako jedyny statek żaglowy będzie brał udział w zawodach oceanowych do Cuksaven.

— Dziękuję panu — odpowiedziała przez łzy. — Niech mi pan wierzy, że nie jestem zła... Powiedziałabym panu, dlaczego znalazłam się na tej drodze, ale to smutna i długa historja... Gdybym miała pieniądze — jechałabym tramwajem, ale nie mając grosza przy duszy, musiałam puścić się piechotą i, gdyby nie pańska uprzejmość, to szłabym pewno do samego wieczora.

— Szkoda by było takich delikatnych nóżek — odpowiedział mleczarz i zwrócił rozmowę na inny temat.

Po godzinie jazdy znaleźli się w mieście. Mleczarz przystanął przed jednym ze sklepów, do których dostarczał mleko, i rzekł do Haneczki:

— Jesteśmy na miejscu. Stąd tramwajem można zajechać do śródmieścia za pięć centów. Wiem, moje dziecko, że nie masz ani grosza, więc proszę cię, przyjmij ode mnie starego choć pół dolara. Oddasz mi, jak się kiedy spotkamy...

— Nie, nie... dziękuję panu — odparła zarumieniona po same uszy — nie wezmę. Cóżby pan sobie o mnie pomyślał?... Stąd łatwiej mi będzie piechotą, niż z tak daleka.

Mleczarz wcisnął jej gwałtem półdolarówkę i podał jej rękę na pożegnanie.

— Jak się spotkamy, upomnę się o zwrot — rzekł śmiejąc się. — Teraz dowidzenia, bo sporo roboty mnie czeka. Tam jest przystanek tramwajowy — dodał, wskazując najbliższy narożnik.

Zdjął z samochodu skrzynkę z butelkami mleka i poszedł ku sklepowi, nie oglądając się na dziewczynę.

Chwilę stała, wzruszona dobrocią obcego sobie człowieka.

— Nie zginę — pomyślała z ulgą. — Są jeszcze dobrzy ludzie na świecie...

Kupiła poranne wydanie jednego z wielkich dzienników, wsiadła w pierwszy przejeżdżający tramwaj i pojechała w stronę śródmieścia.

Zaraz na pierwszej stronie pisma znalazła potwierdzenie wiadomości o zamordowaniu Wintersa i aresztowaniu Stefana, o którym pisano, że pomimo niezbitych dowodów, wypiera się stanowczo wszelkiego udziału w zbrodni.

Znalazłszy w gazecie adres redakcji, wysiadła na właściwym przystanku i jeszcze przed otwarciem biur weszła do gmachu wydawnictwa. Skierowana przez portjera rychło dostała się przed oblicze dyżurnego reportera, który w chwili jej wejścia zajadle pisał na maszynie jakąś sensacyjną wiadomość do następnego wydania.

Był to człowiek młody, o bujnej, zwichrzonej czuprynie ogisto - rudych włosów, twarzy pokrytej niezliczonemi centkami piegów i inteligentnem a sprytnem wejrzeniu niebieskich oczu.

Siedział przy biurku bez marynarki, mając na czole zielony daszek, służący do chronienia oczu od zbytniego blasku silnej elektrycznej lampy, umieszczonej tuż nad maszyną do pisania. W zębach trzymał krótką fajeczkę, której niebieskawy dym gęstemi kłębami otaczał całą jego głowę.

Powietrze w tym pokoiku było przesycone dymem, a porozsypywany dokoła biurka popiół świadczył, że młody reporter wiele takich fajek musiał wypalić przez czas swej kilkugodzinnej służby.

Na odgłos otwierających się drzwi, reporter, nie podnosząc oczu od maszyny, rzucił wraz z kłębem dymu:

— Kto i czego?

— Przepraszam pana — rzekła Haneczka, niezmiernie zakłopotana takiem przyjęciem, że przeszkadzam, ale...

Na dźwięk młodego, świeżego głosu dziewczyny reporter szybko odwrócił się i spojrzał na mówiącą. Widząc piękną twarzyczkę Haneczki, wyjął fajkę z zębów, błyskawicznym ruchem zrzucił z czoła daszek i kłaniając się uprzejmie, przemówił z uśmiechem:

— To ja przepraszam, że tak niegrzecznie panią przywitałem. Czemże mogę służyć pani?

Zanim Haneczka odpowiedziała, reporter zsunął plik gazet, które leżały na stojącem obok biurka krześle, i wskazując ręką, dodał z uśmiechem:

— Proszę, niech pani siada.

Zakłopotana, ale ośmielona już cokolwiek, Haneczka usiadła na krzesełku i odrazu przystąpiła do rzeczy.

— Przeczytałam w gazecie, że jeden z moich znajomych, pan Stefan Lubicz, został aresztowany pod zarzutem morderstwa. Wiem, że był reporterem któregoś z tutejszych dzienników, i chciałam dowiedzieć się o jego adres...

— Stefan Lubicz? A tak, pani... Był reporterem i rzeczywiście jest podejrzany o zamordowanie jakiegoś Wintersa i o obrabowanie go. Hm... więc pani pragnie dowiedzieć się, gdzie mieszka?

— Tak, proszę pana. To rzecz dla mnie niezmiernie ważna...

— Tak... hm... adres — mruczał, wysuwając szufladę biurka. — Zaraz zobaczę, czy mam tu ten adres. Znałem go nawet osobiście, ale dawno go już nie widziałem... Przypuszczam, że mam jego adres gdzieś zanotowany — mówił bezładnie, wyjmując z szuflady mały aparat fotograficzny.

— A czy może mi pani powiedzieć, dlaczego szuka pani jego adresu? Bo to, widzi pani, nie możemy dawać adresów wszystkim... Czy pani może jest siostrą pana Lubicza?

— Nie...

— To może kuzynką lub narzeczoną, co? Z pewnością narzeczoną, prawda? Haneczka zarumieniła się i nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Aha... już wiem. Zatem narzeczona... A dla narzeczonej trzeba koniecznie postarać się o adres. Zaraz się dowiemy.

Zanim zdążyła się zorjentować, podniósł szybko aparat i zrobił błyskawiczne zdjęcie.

— Dziękuję pani — rzekł uprzejmie. — A teraz postaramy się o adres.

Zdjął słuchawkę z aparatu telefonicznego i kazał połączyć się z redakcją innego dziennika, — tego właśnie, w którym Stefan pracował.

— Hallo, tu redakcja „Heralda". Proszę o adres waszego reportera, którego aresztowano za morderstwo... Tak, tak... Nie wiem... Co? Aha... W Brooklynie? Zaraz zanotuję... Tak... Dziękuję.

Powiesił słuchawkę i napisawszy adres podał kartkę Haneczce.

— Proszę pani — rzekł śmiejąc się, — oto adres. Pan Lubicz mieszkał z matką staruszką....

— Właśnie z panią Lubicz chciałam widzieć się — odparła Haneczka, wstając z krzesełka. — Serdecznie panu dziękuję. Spytam tylko jeszcze o jedno: dlaczego pan mnie sfotografował?

— Jakże pani może pytać o to?... Taką śliczną twarzyczkę trzeba przecież utrwalić na papierze, tembardziej, że jest pani narzeczoną człowieka, którego nazwisko stało się od wczoraj głośne.

— Jakto? Więc pan chce wmieszać mnie do tej sprawy o morderstwo?

— Broń Boże. Ale zawsze osoba, która pozostaje w bliskich stosunkach z oskarżonym w tak głośnej sprawie, budzi zainteresowanie publiczności, a jestem przecież dziennikarzem. Dziwię się tylko, że pani nie znała adresu narzeczonego...

— Więc niech się pan nie dziwi, bo pan Lubicz wcale nie jest moim narzeczonym i, jeżeli mam powiedzieć prawdę, nie widziałam go przeszło od roku.



Kolejka linowa w Rio de Janeiro, która prowadzi na szczyt słynnej góry, zw. „Głową Cukru", skąd rozlega się przepiękny widok na całą okolicę.

Reporter otworzył usta ze zdziwienia.

— A mówiła pani, że jest pani narzeczoną — rzucił jej ostro.

— Bo potrzebowałam adresu.

— Niechże mi pani powie jak się pani nazywa, bardzo proszę...

— Nie. Jestem pewna, że zaraz znalazłabym się w gazecie, a tego wcale nie pragnę.

— Szkoda, wielka szkoda. Trudno, nie mogę pani zmusić do wyjawienia nazwiska, a choćbym mógł, nigdybym tego nie zrobił.

— Więc pozwoli pan, że odejdę. Czeka mnie daleka jazda, bo to zdaje się gdzieś na krańcu miasta...

— A tak. Pojedzie pani koleją podziemną aż do końcowej stacji, a stamtąd to jeszcze kilka minut piechotą.

— Podał jej rękę i uścisnął lekko paluszek.

Znów zarumieniła się rozkosznie.

— Żegnam pana — rzekła z czarującym uśmiechem — i jeszcze raz dziękuję za uprzejmość.

W wieczornem wydaniu „Heralda" obok postaci Stefana pojawiło się zdjęcie Haneczki z podpisem: „Narzeczona oskarżonego stara się o wydobycie go z więzienia".

Prawdziwy przyjaciel

Wiadomość o aresztowaniu Stefana jak grom uderzyła w starą jego matkę. Zrozpaczona staruszka, której jedyną pociechą w życiu był ukochany syn, od zmysłów odchodziła, gdy dowiedziała się z gazet, że jej Stefek, podpora jej starości i żywiciel, jest podejrzany o straszną zbrodnię i zamknięty w więzieniu jako morderca. Noc całą oka nie zmrużyła, nie kładła się nawet, tylko łzami zalana, zbolała i złamana.

Wydobyła ze skrytki w komodzie wszystkie swe oszczędności, by je przerachować po kilka razy i przekonać się, że ani w części nie wystarczą na zaangażowanie dobrego obrońcy dla Stefana, obrońcy, któryby potrafił ratować jej syna ze strasznego położenia, w jakiem się znalazł.

O niewinności Stefana nie miała najmniejszej wątpliwości i w głowie pomieścić się jej nie mogło, jak można było posądzać jej syna o jakiekolwiek przestępstwo, a cóż dopiero o zamordowanie człowieka, którego przyprowadził do domu i przedstawił jej, matce rodzonej, jako swego przyjaciela.

Chciała zaraz z wieczora jechać do miasteczka, gdzie mieściło się więzienie, w którem zatrzymano Stefana, ale rozmyśliła się, rozumując słusznie, że w nocnej porze nie pozwolą widzieć się jej z synem. Postanowiła tedy czekać do rana i spędziwszy bezsenną noc miała już wychodzić z domu, gdy wstrzymało ją nieśmiałe pukanie w frontowe drzwi.

Otworzyła i ujrzała stojącą na werandzie młodą, nieznaną sobie dziewczynę.

— Czy tu mieszka pan Stefan Lubicz? — spytała Haneczka, wzruszona widokiem staruszki, na której twarzy znać było cierpienie i zgryzotę.

— Tak, panienko — odpowiedziała Lubiczowa — ale niema go w domu.

— Czy pani jest matką Stefana... chciałam powiedzieć pana Lubicza?

Matka Stefana spojrzała na nią badawczo. Ogarnęła wzrokiem całą jej postać i spojrzenie dłużej zatrzymała na bladej zmęczonej twarzyczce dziewczyny. Egzamin musiał wypaść pomyślnie, bo odpowiedziała z bolesnym uśmiechem:

— Stefan jest moim synem. Jakiż interes miała panienka do niego? Jeżeli mnie stara pamięć nie myli, widziałam panią już kiedyś, ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie i kiedy...

Nie myliła się mówiąc to, gdyż widziała Haneczkę przed kilku laty, w czasie, gdy chodziła do szkoły. Stefek pokazał ją matce raz na wycieczce szkolnej.

— Jestem Hanka Burska — odpowiedziała Haneczka. — Może pan Stefan opowiadał pani kiedy o mnie...

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

MARJA REUTT autorka „Zemsty Cyganki"

Co zazdrość może

ROMANS WSPÓŁCZESNY

6)

„Całuję Cię po miljon razy — Twoja Wanda".

„P. S. A. zaopiekuj się panem Szelestowskim. On taki, biedny ,chory i wyczerpany, brazylijski klimat okazał się dla niego zabójczym. — Żeby, broń Boże, to się źle dla niego nie skończyło"...

Profesor czytał list, przeczytywał go parokrotnie i obok radości, że serce Wandy odzyskał, świadomości, że nigdy nie przestało ono bić dla niego, tem większy ogarniał go strach — strach przed tem złem, który sprawić miał jego zbrodniczy zamiar...

Znowu upłynęła mu jeszcze jedna noc bezsenna, spędzona z bólem szalonym w sercu i chaosem w mózgu.

— Wanda tam zamknięta w ciasnej kajucie okrętowej ze straszliwą, groźną tem, co nosi w łonie, żmiją koralową!

— — — — — — — —

Gdy wstał rano z łóżka, był bardziej osłabiony, niż kiedy się kładł; osłabły, ledwie trzymał się na nogach, chodząc po pokoju i wykonywując mechanicznie czynności toalety i ubierania się.

Wmusił wreszcie w siebie kilka szklanek gorącej „herwy", jedną za drugą, potem wypił soku pomarańczowego i wzmocniony tem trochę, wyruszył z domu do lecznicy, gdzie leżał Tomasz.

Stan Tomasza, niestety, był taki sam, jak wczoraj, groźny, prawie beznadziejny. Trawiła go wysoka gorączka, leżał w malignie i bredził nieprzytomnie.

Adam siadł koło jego łóżka i wpatrując się zrozpaczonemi oczami w wychudłą, rozpaloną twarz Tomasza w szkliste jego oczy, czekał na chwilkę odzyskania przez niego przytomności, czekał cudu.

— — — — — — — —

Niewiadomo kto z tych dwóch był w bardziej pożałowania godnym stanie. Profesor wprawdzie nie miał gorączki, ale trawiło go moralne cierpienie, wyczerpała bezgranicznie męka tych ostatnich trzech dni i trzech nocy. Znajdował się jakby w pół świadomości i gdy tak siedział przy łóżku Tomasza, wpatrując się w niego natężonym wzrokiem, oczy Adama zmęczone trzydniową bezsennością, niewypłakanemi łzami, zaczęły zwolna zasnuwać się jakby mgłą; zapadł w półsen, a półjawę.

Zniknło mu z przed oczu jego obecne otoczenie — wzrok jego jakby cofnął się w głąb duszy, a następnie wybiegł w dalekie przestrzenie, na ocean, poszedł za nieznanym statkiem, który pruł teraz bezmiar wód w drodze do Polski, wioząc Wandę. Wewnętrzny wzrok Adama dogonił ten okręt, płynący po falach, dojrzał go, przeniknął jego wnętrze, dostał się do kajuty, gdzie znajduje się śliczna jasnowłosa kobieta...

— — — — — — — —

Układa się właśnie do snu. Na poduszce jej skromnego okrętowego łóżeczka, obok jej kochanej głowy, leży fotografja mężczyzny. Kobieta przyciska ją do ust, tuli do policzka, mówi do niej „Dobranoc Adasiu." Potem zasypia uśmiechnięta, szczęśliwa. Jedną rękę podłożyła pod głowę, druga bezwładnie zwisa z łóżka. A pod łóżkiem rzędem stoją metalowe pudełka z wężami i żmijami, wśród nich ze żmiją koralową. Wszystkie węże, choć strasznie jadowite to gady, nie są już niebezpieczne, bo wyrwano im jadowite zęby. Nawet żmija koralowa niczem już grozić nie może...

Ale nagle w kajucie, wśród nocnej ciszy, którą narusza tylko leciutki oddech śpiącej kobiety, w metalowem pudle z koralową żmiją, coś dziwnie zaszeleściło. Szelest ma jakby lekki dźwięk metalowy, jakby tarcie jakiegoś ciała o brzegi pudełka. Co to?! Przez małe okrągłe otworki w metalowem pudle, przeciskają się cieniutkie, kilkucentymetrowe zaledwie czarne, czerwono nakrapiane jakby dżdżownice. Jest ich dużo, bardzo dużo i wychodzi coraz więcej. Rozłażą się po ziemi, wpełzają po zsuniętej kołdrze i po ramieniu na górę, na łoże, obsiadają szyję i piersi śpiącej kobiety... Kobieta wzdryga się przez sen, robi lekkie ruchy ciałem, jakby chciała je strząsnąć, lecz dziwnie czarnych ruchomych nitek przybywa coraz więcej. Są świeżo wylęgłe te małe stworzenia, głodne, zęby ich szukają, w coby się wpić. Ich ukąszenie jest prawie bezbolesne, jak ukłócie muchy, ale jad ich miniaturowych ząbków ma tę samą trującą siłę, co zębów ich matki — żmiji koralowej...

Kobieta zatrzepotała rękoma, wyprężyła się na łóżku całem ciałem i znieruchomiała — ramiona jej opadły sztywno, jedno ku ziemi, drugie na kołdrę. Jeszcze kilka drgnień przebiegło po jej ciele, bolesny skurcz po twarzy — nie żyje!

— — — — — — — —

Z głośnym, przerażonym okrzykiem profesor rzucił się na krześle i otworzył oczy, wyprostował się. Krzyku jednak, który go obudził, nie mógł zatamować w piersiach. Przeszedł on w bolesny, głośny jęk, jakby ryk bezbrzeżnego bólu.

Dopiero wtedy profesor naprawdę oprzytomniał, przywołany do samowiedzy dźwiękiem własnego głosu, który jednocześnie sprowadził do pokoju pielęgniarkę.

— — — — — — — —

Była to dziwna scena. Chory niesłychanie zdziwionym wzrokiem patrzył na dygocącego w krześle mężczyznę i przestraszoną sanitarjuszkę, która, sama nie wiedząc, komu pierwej pomoc jej jest potrzebna — pytała niespokojnie to jednego, to drugiego:

— Co panu się stało? Co się panu stało?

To pytanie oprzytomniło częściowo profesora. Ale, jakby chcąc niejako namacalnym dowodem wyrwać się ze świata straszliwej zjawy sennej, którą przed chwilą w duszy przeżywał, chwycił pielęgniarkę za rękę.

— Nic mi się nie stało, siostro, a jednocześnie stało mi się coś najstraszliwszego, co tylko można sobie wyobrazić. Ach, oby ten sen był tylko pustem przywidzeniem!... Przed chwilą we śnie widziałem na jawie, że jedna ze żmij z zebranego przezemnie zbioru, który żona moja wiezie na okręcie przez ocean, najstraszniejsza żmija koralowa, wydała na świat małe, które wypełzły z klatki i jadowitemi ukąszeniami zabiły mi żonę.

Pielęgniarka, obca całej historji, patrzyła na niego zdziwionym wzrokiem, zdradzającym, że niebardzo rozumie jego zdenerwowanie i jego przerażenie.

W tej chwili jednak z łóżka odezwał się głos Tomasza, dziwnie zmieniony, jakby obcy, a przedewszystkiem cichy i osłabiony.

— Dobrze, że cię słyszę. Adamie — mam ci tak dużo do opowiedzenia, choć jeszcze teraz nie mogę... Przypuszczam jednak, że ci metys opowiadał coś o naszych przygodach... o wywróceniu się pod wodospadem...

— Nie, nic nie wiem — odpowiedział profesor.

— — — — — — — —

Dopiero w kilka godzin, gdy przywrócony do przytomności Tomasz, u którego nastąpiło przesilenie choroby, pokrzepił się kilkogodzinnym snem, mógł on opowiedzieć swoje przygody podczas przewożenia zbiorów profesora, przeprawę przez rzekę, dalszą drogę do Kurytyby...

— Niezmiernie mi przykro — usprawiedliwiał się Tomasz — że złamałem słowo, udałem się do twej żony i widziałem się z nią. Ale nie miałem innej drogi wobec odmowy konsulatu wyekspedjowania transportu ze zbiorami do Polski.

— Zresztą — dodał, pomilczawszy chwilę — to wszystko jest jednem wielkiem nieporozumieniem. T w o j a W a n d a n i e j e s t m o j ą W a n d ą — tamta była szatynką o piwnych oczach...

To naprawdę był cios za silny, choć właściwie wieść była radosna. Profesor zemdlał i runął z krzesła na podłogę...

I znów jak przed ośmiu miesiącami Tomasz przepływał ocean — nietylko jednak w odwrotnym kierunku, lecz również w jakże odmiennym nastroju, w jakże innym stanie ducha i ciała!

Płynął z Brazylji spowrotem do Polski ze zdruzgotanemi nadziejami, które wiązał ze swą podróżą przed wyjazdem, oraz tą wielką, wspaniałą nadzieją szczęścia całego życia, która zajaśniała mu po drodze w tamtą stronę na okręcie, na którym poznał Wandę.

Teraz znowu był to okręt prawie ten sam — w każdym razie bliźniaczo podobny, bo należał do tej samej linji, był tej samej wielkości, tak samo zbytkownie urządzony, tak samo było na nim wesołe i rozbawione towarzystwo podróżnych; wszystko takie samo — tylko on był zupełnie inny, a więc wszystko było dla niego jakby zszarzałe, bezbarwne, niepociągające.

Naprożno roztaczało przed nim swe wspaniałe uroki morze i słońce południa — bezskutecznie chciały go porwać w swój wir uciechy beztroskiego życia pasażerów, dla których całe życie jest wesołą podróżą, a cóż dopiero sama podróż przedsięwzięta dla przyjemności.

Na pokładzie i w salonach okrętowych kwitnął flirt, tennis, tańce od rana do nocy, rozbrzmiewała wesoła zabawa ludzi zamożniejszych starszych, którzy przy młodzieży szukali złudzeń swej młodości...

Lecz Tomasz nie brał żadnego udziału w rozrywkach. W niczem teraz nie przypominał jadącego tak stosunkowo niedawno tego wesołego młodego człowieka, który z lekkomyślną beztroską motyla zbierał słodycz ze wszystkich kwiatów życia. Obecnie był fizycznie wyczerpany chorobą i znękany, psychicznie przygnębiony przez jedną, dominującą nad wszystkiem rozpaczliwą myślą.

Całemi dniami, wciśnięty w kąt pokładu lub wsunięty głęboko w fotel w salonie męskim, siedział bez ruchu, patrzył bezcelowo gdzieś przed siebie, przeżywając ciągle na nowo te same bolesne wspomnienia. Współpasażerowie przestali się nim wkrótce zajmować — a on w samotności gryzł się z bólem i tęsknotą.

Okropna rzeczywistość wprost nie mogła pomieścić mu się w głowie — nie mogło się z nią pogodzić serce.

Wanda — ta, dla której był pierwszą miłością życia, ta, z którą połączył się ustami i sercem w obliczu największego niebezpieczeństwa — przestała istnieć, gdy on pozostał przy życiu... Pochłonęły ją niezgłębione przestwory wodne, stała się pastwą żarłocznych morskich potworów... Dlaczegoż jego wyratowano, dlaczego on teraz ma być na całe życie pastwą gorszych potworów — boleści i rozpaczy?...

Była to rozpacz beznadziejna, bez ukazującego się na horyzoncie duszy choćby promyka pocieszenia. Z początku przecież wierzył, że i ona została uratowana, nie mógł pogodzić się z myślą o katastrofie. Długi czas żył nadzieją, że ona żyje, choć on narazie o tem nie wie. Gdy tylko przyszedł jako tako do sił i przytomności po przejściu gorączki tropikalnej, rozesłał ogłoszenia do wszystkich pism polskich i brazylijskich, na wszystkie strony pisał do biur towarzystw okrętowych, znikąd jednak nie przyszła wiadomość, która mogłaby być dla niego zbawieniem.

Nareszcie skończyła się podróż. Tomasz telegrafował do rodziców o dniu swego przyjazdu do Gdańska, z radością też zauważył ojca stojącego na molo portowem, do którego przybijał statek. Pomimo całej rozpaczy, która go pożerała, coś na kształt uśmiechu przebiegło po ustach Tomasza, gdy ujrzał ojca. Długo ściskali się w milczeniu.

— Zmizerniałeś bardzo, mój chłopcze.... — wyrwało się z ust ojca westchnienie. — Wiesz co, Tomuś, podamy chyba matce inną godzinę przyjazdu pociągu, lepiej, żeby nie wychodziła po ciebie. Gdy cię zobaczy tak zmizerowanego, rozpłacze się przy ludziach.

Istotnie, gdy po przyjeździe weszli do pokoju, w którym siedziała pani Szelestowska, to na widok syna sczerniałego, wychudłego, apatycznego, pomimo całej radości z zobaczenia go, rozpłakała się. Tomasz objął ją ramieniem i uspakajał.

— No, mamusiu, niema czego płakać, wróciłem cały i żywy, widzimy się znów.

Trudno było jednak uspokoić odrazu roztkliwione macierzyńskie serce, więc Tomasz spróbował żartu:

— No widzi mama, a ja przeczuwałem — to murzynki i mulatki tak mnie urządziły...

Matka spojrzała na niego niedowierzająco, a Tomasz żartował dalej, opisując żartobliwie wdzięki czarnych podzwrotnikowych piękności, co wkońcu osiągnęło skutek i usunęło pierwszy atak rozżalenia macierzyńskiego.

Przeszli wszyscy do jadalni, gdzie wezbrane uczucie matki wyładowało się w przygotowaniu najsmakowitszych kąsków dla jedynaka, nakładaniu mu na talerz coraz nowych porcyj, a widok syna, żywego, przytomnego, powróconego nareszcie do domu, jedzącego, napełniał łzami radości zarazem i litości oczy, śledzące miłośnie każdy jego ruch.

Rozpoczęło się nowe życie — jeżeli nie dla Tomasza, to przynajmniej dla matki, która czyniła wszystko, aby wróciły mu siły fizyczne, dawna wesołość i werwa. Matczysko samo gotowało mu najsmaczniejsze i najposilniejsze potrawy, pilnowało regularności posiłków, wczesnego kładzenia się do łóżka jedynaka, którego aby go wyleczyć z osłabienia i przygnębienia, postanowiło koniecznie ożenić w bieżącym jeszcze karnawale.

W tym celu pani Szelestowska poodnawiała zaniedbane stosunki towarzyskie, poodświeżała dawne znajomości, pozawierała nowe, przedewszystkiem jednak w tych kołach i rodzinach, gdzie były młode i ładne panny na wydaniu.

Na stałych przyjęciach we wtorek u państwa Szelestowskich, w ich mieszkaniu przy ulicy Sadowej, dotąd cichem i pustawem, stało się gwarno i wesoło. Przychodzili goście na pogadanki, na herbatki, na kolacje, a zawsze w liczbie gości musiała znaleźć się jakaś przystojna i elegancka siostra, córka, siostrzenica, jednem słowem młoda panna „do wzięcia".

Zachęcane przez matkę, wszystkie one przypuszczały ataki do serca Tomasza, który ostatecznie był dobrą partją. Były to ataki skombinowane i zaczynane z różnych stron, jak to zwykle bywa. Każda z panien usiłowała uwydatnić wszystkie zalety, jakie miała i jakich nie miała w odwiecznej roli „panny na wydaniu", która musi być wszystkiem, a najmniej sobą na czas małżeńskiego jarmarku. Gdy już umowa kupna-sprzedaży przyjdzie do skutku, wtedy dopiero „szczęśliwy nabywca" dowiaduje się w istocie co zdobył — narazie musi być olśniony...

Tomasza jednak nic olśnić nie mogło dla tej prostej przyczyny, że go wszystkie te młode osoby, mniej więcej ładne i przyjemne, nie obchodziły. Jego serce było zbyt wyczerpane i zbyt zbolałe. Aby zrobić matce przyjemność, bywał z nią wszędzie, dokąd go ciągnęła, uczestniczył w przyjęciach domowych, był uprzejmy dla panien. Myśli jednak jego były gdzieindziej.

PRZED ZAGADKĄ

Odzyskawszy trochę sił, przynajmniej fizycznych, w domu, pod troskliwą opieką matki, Tomasz stał się pastwą innego pragnienia, innej uporczywej myśli, która zaczęła go dręczyć jak ludzi opanowanych jedną manją: zapragnął wyjaśnić tę tajemnicę Wan-

dy, której rąbek odsłoniła mu ona przy poznaniu — zapragnął dowiedzieć się, co jej przeszkadzało w zbliżeniu się z początku do niego, dlaczego mówiła, że nie ma prawa do miłości, kim wreszcie była? Zaczął chodzić po biurach wywiadowczych, wynajmował ajentów, zasięgał informacyj, ale niczego się nie dowiedział.

Wanda Fiszer — to była zbyt słaba wskazówka. W samem warszawskiem towarzystwie Fiszerów było kilkanaście rodzin — lecz żadna z nich nie wysyłała córki czy siostry do Brazylji, nawet nie miała żadnej dorosłej panny imieniem Wanda. Wszystkie Wandy Fiszer, o których się dowiedział, były to jeszcze albo dzieci lub podlotki, albo zupełnie już dojrzałe osoby... Nawet tej ulgi, jaką przyniosłoby mu dowiedzenie się czegoś bliższego o Wandzie, nie mogła mu dostarczyć rzeczywistość.

Oczywiście, że panią Szelestowską ta manja syna, jego uporczywe usuwanie się od towarzystwa, obojętność wobec kandydatek, martwiły i gniewały jednocześnie. Matka uparła się, że przywróci jedynakowi szczęście przez „szczęśliwy" ożenek, przyczem szczęśliwy, znaczyło z panną przez matkę wybraną i uznaną za godną uszczęśliwienia Tomcia.

Miała ona już jedną taką upatrzoną kandydatkę „pierwszej klasy", trzymaną jeszcze dotąd w rezerwie, którą chciała wysunąć dopiero wtedy, gdy inne panny „rozruszają" syna.

To też kiedy Tomasz na kilku wieczorkach i wizytach, wystawiony przez matkę na pastwę kandydatek do stanu małżeńskiego, z tą i ową uprzejmie porozmawiał, matka zdecydowała, że już czas na wyrzucenie największego atutu. Zaatakowała go więc w stosownym momencie i musiał przerzec, że w najbliższe niedzielne popołudnie pojedzie z nią pod Warszawę do Grodziska, gdzie we własnej willi spędzała lato jej przyjaciółka jeszcze z zakładu wychowawczego Sercanek w Zbylitowskiej Górze, obecnie żona bogatego przemysłowca i właściciela nieruchomości.

Przyjaciółka ta miała, oprócz czterech synów, córkę jedynaczkę, dwudziestokilkoletnią przystojną pannicę, którą pani Szelestowska upatrzyła sobie na synową.

— Musisz się nią zająć, Tomciu — ładna, młoda, żywa, z temperamentem, córka mojej koleżanki. — Mówię ci, najlepszy sposób na otrząśnięcie się z tej martwoty, która cię ogarnęła, to zająć czemś serce, a najlepiej ładną panną...

Tomasz nie sprzeczał się, nie chciał zresztą przed matką zdradzać tajemnicy swego straszliwego nieszczęścia, na które ona nic poradzić nie mogła, a tylkoby z powodu wiadomości o niem jeszcze bardziej cierpiała. Widział, że dla matki jest niebywałą satysfakcją swatanie go i szukanie dla niego szczęścia, a czy będzie się musiał „bliżej zająć" tą czy inną panną, było mu wszystko jedno...

— — — — — — — — —

Niedziela była wyjątkowo piękna, gdy Tomasz z matką wsiadał do podmiejskiego pociągu do Grodziska. Państwo Mielczarkiewiczowie „trzymali fason" bogatych ludzi, więc na stacji w Grodzisku na Tomasza z matką czekał ich własny samochód, prowadzony przez samą pannę Felę Mielczarkiewiczównę.

Panna rzeczywiście była przystojna, elegancka i śmiała, w obejściu swobodna.

Panna Fela Mielczarkiewiczówna była typem panienki „współczesnej". Jako jedyna córka bogatych rodziców, miała możność żądania od życia wszystkich jego przyjemności, a jako panna swobodnie wychowana, miała też odwagę sięgania po nie.

Nie był to typ nieśmiałej, trwożliwej gąski, czekającej, z udaną zresztą skromnością, aż przyjdzie ktoś wybrać ją za żonę. Uważała, że ma sama równe prawo wyboru między kandydatami na przyszłego swojego męża.

Dlaczego panny mają mieć pod tym względem mniejsze prawa od kawalerów? — myślała, jak widać było z jej postępowania, i w obejściu z młodymi ludźmi zaznaczała tę swoją niezależność, a zarazem także gotowość do przyjęcia konkurów tego, który jej się podobał. To, że ktoś z boku mógł obserwować jej postępowanie, nie krępowało jej wcale...

Takie wrażenie na Tomaszu zrobiła owa kandydatka jego matki na narzeczoną dla niego, którą zastał na stacji w Grodzisku, czekającą na nich oboje we własnym samochodzie. Wrażenie to nie było bynajmniej odpychające, raczej przeciwnie; w obecnym swoim nastroju Tomasz odczuwał jako rzecz uciążliwą narzucane mu przez matkę konkury do różnych panien, które trzeba było „zdobywać".

Owa panna Fela Mielczarkiewicz, swobodna, raczej zdobywcza niż zdobywana, dogadzała jego obecnemu biernemu nastrojowi. Obcowanie z nią pozwalało mu wewnętrznie zachować swoje własne myśli, a zewnętrznie poddać się zabiegom towarzyskim młodej, rezolutnej i przystojnej osoby.

Po raz pierwszy od przyjazdu czuł się trochę swobodniej i popołudnie w willi państwa Mielczarkiewicz zbiegało mu wcale miło, nie mówiąc już o matce, która była w siódmem niebie.

Po podwieczorku na werandzie całe towarzystwo przeszło do salonu.

Gdy wszyscy pozabierali miejsca, Tomasz, usiadłszy przy stole, machinalnie wziął do ręki album z fotografjami, przeważnie amatorskiemi, leżący na staroświeckiej komódce. W albumie były sfotografowane rozmaite epizody z życia codziennego rodziny państwa Mielczarkiewicz, a przedewszystkiem panny.

Tomasz dość niedbale i bez większego zainteresowania przerzucał kartki albumu z fotografjami, gdy nagle na jednem ze zdjęć grupowych mignęła mu wśród innych znajoma, a nigdy nie zapomniana twarzyczka dziewczęca — twarzyczka Wandy!...

Było to jakby niespodziewane objawienie. A więc po tylu poszukiwaniach daremnych, po tak długiem tropieniu za jakimkolwiek śladem, oto szczęśliwy wypadek, jakby umyślnie spowodowany ręką łaskawego losu, daje mu wskazówkę tak doniosłą, tak wyraźną...

Tomasz musiał przeczekać chwilę, aby opanować pierwsze, niesłychanie silne wrażenie i dopiero stłumiwszy wywołane fotografją wzruszenie, zwrócił się do panny Feli głosem pozornie obojętnym:

— Bardzo miła jest ta grupa, ślicznie pani na niej wyszła. Gdybym miał odwagę, tobym ją sobie przywłaszczył...

Był to niewinny, lecz konieczny podstęp. Niech panna Fela myśli o sobie, że to z jej powodu właśnie chodzi mu o tę fotografję! Mimowoli jednak serce biło mu trwożnem oczekiwaniem: nie był pewny, czy panna Fela zgodzi się tak szybko na oddanie swej podobizny młodemu człowiekowi, który dopiero zaczyna do niej się zalecać...

Na szczęście panna Fela zrozumiała tę propozycję w sensie najpochlebniejszym dla siebie, a przy tem widocznie nie była dla niego niełaskawa. Widać było nawet, że jej się to podobało. Na „modnie" opaloną cerę jej twarzy wybił się rumieniec i oczy zamigotały zadowoleniem, gdy wyrażała zgodę na zabranie fotografji przez Tomasza.

Skwapliwie wyjął kartkę z albumu, poczem zaczął dyplomatycznie wypytywać o osoby znajdujące się na tem grupowem zdjęciu. Panna Fela wyliczała mu pokolei: — to pewien student, to inżynier, tamto lekarz, tutaj żona starosty, tam córka obywatela ziemskiego, to pewien młody poeta, tamto znany tennisista... — W tem wyliczaniu ominęła tylko Wandę.

Tomasz oczywiście nie mógł osiągnąć głównego celu swojego manewru, więc zachowując zresztą w dalszym ciągu ton niedbale obojętny, zapytał wskazując na twarz Wandy na fotografji:

— A ta panienka?...

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

TROCHĘ DYSKUSJI

„Eros". Zapewniam Pana, że praca moja daje mi bardzo dużo szczęścia i niewątpliwie dlatego obcy mi jest trud i znużenie. Listy zaś w rodzaju Pana są dla mnie prawdziwemi objawieniami dobroci i życzliwości. Listów takich otrzymuję setki, więc i sama prócz dobroci i życzliwości nie mogę dawać, moim Sympatykom, nic więcej. Oto moja odpowiedź na pierwszą część listu Pana. Drugą część, dyskusyjną, oddaję do druku:

„Kropelce z Pomorza" w odpowiedzi: W poglądach Pani jest dużo racji. Nie uwzględniają jednak one kilku momentów i to: charakteru, usposobienia, warunków i przeżyć danej jednostki, oraz chimery ludzkiej, nastroju, pospolicie zwanego humorem. Tak jedne jak i drugie wyciskają nieraz swoje piętno na człowieku i trudno je zwalczyć. Na to trzeba nadzwyczaj silnej woli i hartu ducha. Pozatem jesteśmy wszyscy tylko ludźmi i jako tacy, odczuwamy nieraz potrzebę zwierzenia się przed kimś z swoich wewnętrznych trosk i zmartwień. I wtedy zazwyczaj szukamy kogoś godnego zaufania, by mu się zwierzyć. Na ból i kłopoty nie pomaga czasem najuciążliwsza praca, nie zdołamy ich zgłuszyć nawet rozrywkami. Czy Pani nigdy jeszcze nie przeżywała takich chwil? Proszę się szczerze przyznać. Osobiście śmiem twierdzić, że takich chwil nikt nie uniknie, tylko sposób zareagowania będzie różny. Zresztą termin „nuda" jest tu niewłaściwie użyty. Często służy on tylko jako wyrażenie słowne, obrazujące chwilowe usposobienie. Na tem kończę. Jeżeli uznasz mnie, „Kropelko", za godnego partnera i zechcesz ze mną dalej dyskutować, proszę, napisz. Ślę Ci pozdrowienia.

„Pilotka K. M." czy była na poczcie? Czy nie warto?

Czy „Słodka Psyche" nie chciałaby ze mną nawiązać kontaktu?

„Szarą Dziewczynkę" z Bydgoszczy serdecznie pozdrawiam.

MYŚLĘ...

„Jadwinia D." „Mieszkam na wsi, gdzie brak zupełnie odpowiedniego towarzystwa. Cieszyłabym się ogromnie, gdyby do mnie ktoś napisał. Na każdy list dam odpowiedź. Przesyłam pozdrowienia: „Białej Uajali" — „Zrozpaczonej Maryli" — „Wenus" — „Smutnemu Stasiowi" — i „Szczęsnemu".

Kochana „Jadwiniu"! Kilka słów z Twego listu przedrukowałam wyżej, a teraz dziękuję Ci za miły liścik i wyrażam radość z Twego powrotu do nas. Długo milczałaś i nie dawałaś o sobie znaku życia i oto znowu napisałaś do mnie. Myślę, że nasz kontakt nie przerwie się już teraz tak prędko?

SPRAWA ADRESÓW

„Samotny Agronom". Życzeniom Pana uczyniłam zadość. Adresów swoich Czytelników, redakcja nasza zasadniczo nie zdradza, więc i tym razem nie mogę zrobić wyjątku i podać P. żądanego adresu. Przesyłam P. jak najserdeczniejsze pozdrowienie i proszę o dalszą pamięć.

NIE OTRZYMAŁEM ŻADNEGO LIŚCIKU

„Wisia — leśniczanka". Pseudonim Pani nieco zmieniłam, gdyż w „Krainie" mamy już jedną „Jadzię — leśniczankę". Ponieważ chciałaby Pani, aby ktoś napisał do Niej miły liścik, przedrukowuję niżej Pani słowa:

„Kochana Pani Zosiu! Z wielką tęsknotą oczekiwałam z dnia na dzień chociaż na mały liścik od kogoś z Sympatyków „Krainy". Czekałam jednak daremnie — nie otrzymałam żadnego liściku. Moje słodkie sny i marzenia zmieniły się w przykre rozczarowanie. Ale do trzech razy sztuka! Piszę jeszcze raz — może tym razem mój apel nie minie bez echa...

Czuję się bardzo samotną, gdyż mieszkam daleko od rodziców. Tęsknię ogromnie za domem i dlatego chciałabym znaleźć kogoś bliskiego. Chciałabym się podzielić skimś mojemi smutkami i żalami. Piszcie więc do mnie i nie pozwólcie mi daremnie czekać!...

POMIMO SZCZERYCH CHĘCI

„Cormes". Pierwsza zwrotka Pańskiego wierszyka jest bardzo piękna, niestety następne słabe. Pomimo najszczerszych chęci nie mogę wierszyka oddać do druku.

Ucieszyła mnie ogromnie wiadomość, że „Kraina" przysporzyła Panu tyle wrażeń i radości. Życzę dalszego zadowolenia z nawiązanej korespondencji i zamieszczam niżej słowa Pana:

„Załączam podziękowanie wszystkim Czytelniczkom za odebrane liściki, a zarazem serdecznie Je pozdrawiam. Osobno pozdrawiam „Sursum cor" — Starogard (proszę o podanie adresu!) — „Dziewczę Stepu", (również proszę o adres!) „Lusię ze Świecia" — „Wandeczkę z Suchorączka" i „Czesię z Laskowic". (Dziękuję ostatniej za fotografję, zrewanżuję się!)"

„KORESPONDENCJA GÓRĄ!"

„Odrobina szczęścia". Dawno nie otrzymałam takiego kochanego liściku, jaki był Pani. Nie wiem co mnie więcej w nim ujęło, czy rozbrajająca prostota Pani, czy też pogodne traktowanie każdej sprawy, dość, że byłam długo pod wrażeniem przeczytanego listu. Korespondencja z Panią napewno każdemu przysporzy zadowolenia, więc myślę, że już wkrótce nadeślę Pani moc liścików.

„Korespondencja górą! Panowie ze wsi podejmijcie moje hasło! Niech pługi ciągną same konie, niech wrony wyzbierają ziarno, a my zabawmy się w korespondencję!!!"

W ten sposób zwraca się „Odrobina Szczęścia" do Sympatyków „Krainy", którzy niewątpliwie zostaną rozbrojeni tym „zuchwałym" apelem.

UWAGA! SYMPATYCY Z NAD BAŁTYKU!

„Zbłąkany Ptak". Wujek Janusz w pojęciu Pani to siwuteńki staruszek w długim płaszczu, z brodą do pasa. Niestety, wyobraźnia zawiodła Panią — Wujek Janusz to zupełnie inny typ. Może uda się Pani kiedy zabłądzić do Żnina, więc przekona się Pani o tem naocznie. List Pani zamieszczam:

„Ogromny tłok i ścisk panuje w „Krainie" — o tem wiem, ale mam nadzieję, że i dla mnie znajdzie się trochę miejsca.

Liczę lat 20. Jestem czarnulką, typem Rumunki. Znam całą Polskę i kocham ją. Pochodzę z rodziny ziemiańskiej, ale w domu nie siedzę i nie czekam, jak się to mówi, na męża. Mam posadę i pracuję, a gdy się zmęczę to odetchnę powietrzem łąk i lasów i znowu powrócę do zajęć.

Obecnie los zapędził mnie nad nasze kochane morze. Jestem z tego bardzo zadowolona i chyba długo tu pozostanę.

Apeluję do „Siostrzyczek" i Braci" z okolic Gdyni, Wejherowa i Pucka, aby do mnie napisali. Może odezwie się jakiś Kaszuba? Może ktoś, kto zamierza spędzić wakacje nad morzem Czekam..."

NIE ZAPOMINAM TAK SZYBKO

„Wesoła Marietta". „Czy Pani mnie jeszcze pamięta?" — naturalnie, Droga „Marietto"! Nie zapominam tak szybko moich Sympatyków.

Na nadesłaną pocztówkę, o ile sobie przypominam, dawałam Pani odpowiedź. Czy zgadza się?

Za pozdrowienia dziękuję; również w imieniu Wujka Janusza. Zakończenie listu Pani przedrukowuję:

„Przesyłam pozdrowienia wraz z prośbą o liściki: „Amerykaninowi" — „Maronowi" i „Młodemu Zwycięzcy". Ponadto zasyłam pozdrowienia: „Smutnej Oleńce" — „Dzikiej Cygance" — „Klarze Bow" — „Dziewczęciu z krainy burz" — „Kazikowi" — „Lisowi" — „Zielonemu Mundurkowi" i p. Tadeuszowi R. z O.

KILKA SŁÓW O TEM I O OWEM

„Bajka". Przepis na płyn do kędzierzawienia włosów — wysłałam Pani.

Ostatni list Pani, sprawił mi, jak zwykle, dużo satysfakcji. Poruszony problem zainteresował mnie i nasunął mi mnóstwo własnych spostrzeżeń. Przyznaję Pani rację, że jeszcze wielu ludzi nie rozumie potrzeby i konieczności czytania książek, ale faktem jest również, że czytelnictwo w Polsce podnosi się z roku na rok. Powoli, ale powstawają nawet po małych wioskach skromne biblioteczki i uprzystępniają każdemu możność czytania i zdobywania wiedzy. Podobała mi się bardzo przytoczona przez Panią myśl porównawcza o znaczeniu lektury. Przedrukowuję ją, aby sobie ją mogli przeczytać i Czytelnicy „Moich Powieści": „Lektura jest garstką promieni słonecznych, zaklętych w druk i papier i poszukujących serca i mózgu, aby w nich na nowo zamienić się — w słońce". Oby jak najwięcej korzystało z tych „słonecznych promyków".

A teraz post-scriptum „Bajki": „Przesyłam serdeczne pozdrowienia „Czarnej Laman" — „Ognistej Doris" — „Leśnej Rusałce" — „Bandycie" — „Salus" — „Leonowi z Warszawy" i „Medykowi ze Lwowa". Sympatyków wymienionych proszę także o szczere liściki. A może „Tycio — Tyciusieńka" do mnie napisze parę słów?"

„Miłą Zapałeczkę" serdecznie ściskam i mocno całuję. Donoszę Jej również, że serwetka podoba mi się bardzo. Odpowiedź na liściki, wraz z próbką roboty z tasiemek prześlę Jej wkrótce".

DLACZEGO ZMIENIAM NIEKTÓRE PSEUDONIMY?

„Danka" i „Ela". Bardzo chętnie wytłumaczę Paniom, dlaczego zmieniam niektóre pseudonimy: otóż zdarza się nieraz, że pseudonim brzmi absurdalnie, śmiesznie i nienaturalnie, więc wówczas moim obowiązkiem jest pseudonim taki uprościć lub zmienić. Rozumią więc teraz Panie dlaczego i pseudonimy Pań ukazały się w innem wydaniu? Proszę nie żywić o to do mnie żalu i... nie oskarżać mnie, że dla jednych jestem więcej życzliwszą, a dla drugich mniej. Zapewniam Was, Kochane Dziewczynki", że jesteście mi tak samo drogie i miłe, jak „Mała Konwalijka" — „Ryśka D." — i „Jadźka z Kujaw", która pisze śliczne wierszyki. Czy wierzycie mi?

Zakończenie listu Pań zamieszczam:

„Smutny Edku"! Dlaczego Pan milczy? Czy może nie otrzymał mojego listu? Załączam pozdrowienia. — „Danka".

„Hallo! „Tancerz"! Czy Pan nie otrzymał ode mnie listu? Myślę, że tak, więc nie rozumiem dlaczego nie mam dotychczas odpowiedzi!" — „Ela".

NIE ZAPOMNIJ...

„Ryśka D." Ostatni Twój list, „Rysiu", przyniósł mi dużo ciekawych wiadomości. Między innemi dowiaduję się, że wyjeżdżasz na dłuższy czas do Warszawy, ale przyrzekasz pamiętać nadal o mnie i Sympatykach „Krainy". To ostatnie ogromnie mnie ucieszyło i za to przesyłam Ci dzisiaj, Kochanie, serdeczne uściski. Nie wiem, czy odpowiedź moja zastanie Cię jeszcze w domu, ale gdziekolwiek będziesz, nie zapomnij pozdrowić ode mnie p. Czesi, Leszka i Jerzyka, oraz podziękować Im za pamięć!

Korzystając z okazji dziękuję Ci również, Kochana „Rysiu", za cudowne kwiaty. Nadesłały do Żnina nieuszkodzone i długo cieszyły moje oczy piękną krasą.

„CO JEST POWODEM MILCZENIA?"

„Gałązka świerku". Krótki liścik odebrałam. Za pozdrowienia ślicznie dziękuję. Dopisek zamieszczam:

„Hallo! „Amicus"! Przyjm pozdrowienia od „Gałązki Świerku". Czy mógłbyś mi zdradzić, co jest powodem grobowego milczenia? Czy aby nie dezercja, z placu boju, przed widmem przeciwnika?"

DWA LISTY

„Szara Mgiełka“ i „Srebrna Mgiełka“. Dwie siostrzyczki, bardzo miłe i sympatyczne, jak to wskazują ich liściki, pragną należeć do naszego grona. Posłuchajmy co piszą i mówią o sobie:

„Szara Mgiełka“: Jestem stworzonkiem pełnym energji. Wszelkie przeszkody życiowe zwalczam śmiało, nie oglądając się na niczyją pomoc. Czasem jednakże pragnę, aby i w moje szare życie weszło trochę ciepła i zrozumienia. Czuję się tutaj wśród obcych samotnie i bardzo odczuwam brak bratniej duszy. Ogromnie ucieszę się, gdy ktoś skreśli do mnie kilka słów“.

„Srebrna Mgiełka“ to taki sobie lekkoduch. Ogromnie lubi kwiatki. Hoduje ich dość dużo i wiecznie martwi się, aby roślinkom było dobrze. Szczęśliwa się czuję wśród swoich kwiatków o jasnych czuprynkach i różowych buziakach, ale gdy się znajdzie w swym cichym pokoiku odczuwa wielką samotność. W tym właśnie cichym pokoiku pisze ten list i pociesza się nadzieją, że jakiś Dobry Duch prześle „Srebrnej Mgiełce“ kilka miłych słów...

Sądzę, że te dwa listy nie miną bez echa? Samotność to przykra rzecz, więc wnieśmy w nią trochę urozmaicenia. Okazja do tego nadarzyła się wspaniała! Zabierzmy się więc odrazu do napisania listów.

NA POSTE - RESTANTE

„Marzenie z Tczewa“. Korespondencja dzięki „Krainie Szczerości“ zyskuje sobie coraz to więcej zwolenników. Oto znowu apel o listy:

„Jestem rodowitą Pomorzanką, szczupłą, wysoką blondynką. Prawie nigdy nie zbywa mi na humorze. Interesuję się literaturą, teatrem, kinem, a specjalnie „Mojemi Powieściami“, które co sobotę oczekuję z niecierpliwością.

Załączam pozdrowienia „Jadźce z Kujaw“ i „Gladjatorowi“. Jeżeli ktoś zechce do mnie napisać, to niech skieruje, proszę, list na poste — restante, Tczew, „Marzenie“.

APEL Z CICHEGO MIASTECZKA

„Nika“. W pierwszym rzędzie dziękuję Pani za kilka słów uznania, przesłanych pod moim adresem. Było mi bardzo przyjemnie je odczytać...

Bardzo chętnie zaliczam Panią do naszego grona. Od dzisiaj „jest Pani Członkiem naszej olbrzymiej „Rodzinki“. Część listu przedrukowuję i bardzo pragnę, aby ktoś do Pani napisał ogromnie miły list. —

„Jestem mieszkanką małego miasteczka, cichego lecz miłego. Ogromnie kocham naturę. Latem, gdy czas mi pozwala, urządzam sobie spacery za miasto i tam się rozkoszuję naturą. Jestem zwolenniczką jazdy na rowerze. Lubię śpiew, za muzyką przepadam, sama jestem również muzykalna. Prawdziwą satysfakcją byłaby dla mnie korespondencja z sympatykami „Krainy“.

Korzystając z okazji przesyłam moc pozdrowień: „Bajce“ — „Miłej Zapałeczce“ — „Pilotce K. M.“ — „Złotowłosej“ i „Miljonerce“.

Hallo! „Lawrence“, jestem także muzykalną, więc może Pan skreśli do mnie kilka słów? Odpowiedź pewna!

Jeżeli „Syn Morza“ jest marynarzem, proszę, niech do mnie napisze. Kocham bardzo morze i interesuję się niem. Ucieszą mnie również listy: „Incundi agricolai“ i „Jaśka Pokutnika“.

PROSZĘ O NADESŁANIE ADRESU

„Samotna Sosenka“. Niedawno będąc w Poznaniu, oglądałam w oknie wystawowym bardzo ładny obraz. Przedstawiał on szerokie rozłogi pól i stojącą wśród nich, samotną, wysmukłą sosnę. Obraz ten na długo przykuł wówczas moją uwagę. Później o nim zapomniałam. I dzisiaj znowu mi się przypomniał i to po przeczytaniu Pani listu. Tak samo, jak z tamtego obrazu wieje i z Pani listu jakiś nieuchwytny smętek, a wnioskując z pseudonimu, jest Pani tak samotną, jak owa sosna wśród pustych przestrzeni. Chyba się nie mylę, a może?... Proszę mi coś więcej o sobie napisać. Jeżeli nadejdą dla Pani jakieś listy, a spodziewam się, że tak, prześlę je natychmiast, przed tem jednak proszę Panią o nadesłanie adresu.

PROSZĘ O DŁUŻSZY LIST

P. Franciszek R. z Grudziądza. Wierszyk Pana: „Czekam cię“... posiada tyle erotyzmu, że o umieszczeniu go nie może być mowy. Pozostałe utwory posiadają szlachetne myśli, lecz bardzo słaby rytm. Radzę Panu dalej jeszcze pracować nad sobą, a przedewszystkiem dużo czytać.

Przesyłam Panu wyrazy sympatji i proszę o dłuższy list. Ostatni zawiera tak skąpe wiadomości, że trudno mi się zorjentować, co Pana tak bardzo absorbowało, że milczał Pan kilka miesięcy.

CZEKAM

„Słodka Gilda“. Może Pani postara się swój sen zrealizować? Ręczę, że epilog jego na jawie nie będzie wcale tak przykry, jak był w marzeniu. Czekam na telefon i serdecznie całuję!

Teczka Wujka Janusza

DOPIERO DZISIAJ

„Maleńka Dzidzi“. Długi liścik z dobremi życzeniami — odebrałam. Dopiero dzisiaj dziękuję Ci, Marto, za niego. Przyzwyczaiłem się już bardzo do Twoich przemiłych listów.

Cieszę się ogromnie, że ból Twój mija i wraca Ci dawna pogoda. Nie zawiodłem się na Tobie — jesteś dzielną dziewczyną! Przesyłam Ci uśmiech szczerej przyjaźni.

A teraz kilka słów Pani, przeznaczonych dla „Lutka:“ „Dziękuję Panu za list. Dotychczas nie otrzymał Pan ode mnie odpowiedzi, gdyż nie mogę odczytać Pańskiego adresu. Proszę o nadesłanie czytelnego“.

IMIĘ MOJE JEST PANU ZNANE

„Lawrence“. Imię moje jest Panu bardzo dobrze znane — nietrudno się go domyśleć, prawda? Wyobrażam sobie zdumienie Pana po tej odpowiedzi. Nie wiem tylko, jakiego rodzaju będzie to zdziwienie. Może mi Pan zdradzi w następnym liście?

Dziękuję Panu za słowa uznania. Sprawiły mi one duże satysfakcji. Łączę szczery uścisk dłoni.

SMUTEK

Często niespodziewanie przychodzą cienie
Minionych dni...
Jakżeż się wtedy wspomnienia mile wita
I o nich śni...
Dla mnie straciły urok marzenia,
Zwodnicze sny,
Bo czas mi niesie tylko cierpienia
I tylko łzy...
Nie danem mi było śnić o różach,
O szczęścia dniach —
Bo ze snu się często koszmar wynurzał:
Przedziwny strach.
Chwytał mnie w macki zimne, oślizgłe
Od gorzkich łez,
W duszy zostawiał okropną bliznę
I jakiś kres!
Czemuż nie przyszedł koniec tej męki,
Co w głębi tli?
Czy mało było tamtej udręki
I tamtych dni?...
— — — — — — — — —
Mało, bo człowiek cierpienie rodzi,
Cierpienie ssa
I w bólu nieraz ze świata schodzi
I w cichych łzach.

„Biała Uajali.“

SŁABY RYTM

„Anita“. Zgadzam się z Panią, że nie powinno się nigdy tracić nadziei i z silną wiarą patrzeć w życie. I podobają mi się także myśli w Pani wierszykach. Utworków swych nie zobaczy jednak Pani wydrukowanych, gdyż zasadniczym ich błędem to słaby rytm. Szkoda! gdyby wierszyki były gładkie i melodyjne, podobałyby się bezwątpienia każdemu. Może inne będą lepsze? Ściskam Pani serdecznie dłoń.

WŚRÓD ŻYCIA KOLEI...

Wśród życia różnych i zmiennych kolei,
Są chwile smutku... zwątpienia... rozpaczy...
Wśród nich niekiedy słaby błysk nadziei
Smutek rozproszy... radością uraczy...

Niekiedy wieczór cichy czar roztoczy,
I porwie w zachwyt serce uciśnione.
W cichej zadumie czyjeś cudne oczy...
Spojrzą jak ze snu pięknego zbudzone...

I w takiej chwili niepomni przeszłości
Dni szarych i smętnych — cierniami usianych.
Z nadzieją w sercu... czekamy przyszłości
I chwil szczęśliwych, radością rozśmianych...

A kiedy przyjdą i serce poruszą,
Znękane walką.... długą i męczącą...
W cichej zadumie... jęk boleści zgłuszą...
Niosąc balsamu — zadumę kojącą!...

Kazimierz Kamiński.

„BIAŁEJ UAJALI“ W ODPOWIEDZI

„Biała Uajali.“ Zrobiłem, co mogłem i pocieszam się, że choć w części nastrój Pani ulegnie zmianie. List nie był dla mnie ani niespodzianką, ani mnie nie zdziwił. Wiem o tem, że natura Pani jest jak kwiat mimozy: lada podmuch, lada cień ją mrozi i odwrotnie cieplejszy, jaśniejszy promyk rozpromienia ją i pobudza do życia.. Rozumiem Panią, „Biała Uajali“, jak najlepiej,, a jeżeli robię Jej uwagi, to tylko dlatego, że mam w tem pewien cel. Chodzi mi mianowicie o to, aby Pani była jak najwięcej zrównoważoną, gdyż wówczas będzie i szczęśliwszą. Natury czułostkowe, przewrażliwione zniedołężniają człowieka. Człowiek czuje się wtedy, jak dziecko. Brak mu zupełnie tężyzny i odporności w życiu, a wszelkie cierpienia przyjmuje jako dopust Boży i zło konieczne. Staje się człowiekiem zrezygnowanym — tragikiem w aureoli męczennika. Poco to, kiedy każdy człowiek może nagiąć swój charakter i zmienić na lepsze swe usposobienie. Czasem trzeba nad tem długo pracować, czasem krótko, ale skutek jest zawsze pewny. Niech więc i Pani, „Biała Uajali“, weźmie się, jak się to mówi, za bary ze swojem melancholijnem usposobieniem. Wystarczy do tego silne postanowienie i pewna doza silnej woli, bo jak powiedział jeden z polskich autorów — „siła jest zdolnością do szybkiego otrząsania się ze zniechęcenia. Siła — to zdolność, która sprawia, że się otrząsasz z bezpłodnego przeżuwania gorzkich refleksyj o błędach swoich i rozczarowaniach, że znów nabierasz ducha i prowadzony przez nią za rękę, pewnym krokiem na drogę powodzenia wchodzisz. Siła to właśnie, a nie co innego, wzrok twój ku szczęściu kieruje, a zawody przed Tobą przesłania.“

CISZA WIECZORNA

Welonem mroku otulona
Już moja wioska mała, cicha,
Jakby dziewczyna rozmarzona,
Która za szczęściem lekko wzdycha.

Cisza wokoło tylko czasem
Zerwie się dzikich kaczek stado,
Z pobliskiej rzeki, a nad lasem
Księżyc złocisty wschodzi blado.

W tafli jeziora srebrno-sinej
Przegląda tłuste swe oblicze,
A w pociemniałych wód głębinie
Skaczą gwiazdeczki srebrnolice.

I tak mi miło, tak mi błogo,
Tak dobrze, promiennie i jasno,
Że duszą wznoszę się do Boga,
A sercu od uczuć tak jest ciasno.

Saturnina Żochowska.

WIERSZYK — DZIWNY I NIEZROZUMIAŁY

„Zochurek“. „Są dziwy na niebie i ziemi, o których ani śniło się waszym filozofom“ — powiedział Mickiewicz. Słowa te przywodzi mi na pamięć wierszyk Pani. Czytałem już różne wiersze, gorsze i lepsze, ale takiego, jak żyję, jeszcze nie czytałem. Skądże u Pani wzięły się te „zbrodnicze myśli“ i niecodzienne tematy? Chyba „Zochurek“ nie jest tak straszny w rzeczywistości, jak możnaby się tego spodziewać po nadesłanym wierszu? Czekam na list, ten zapowiedziany, tylko broń Boże z wierszami... Łączę miłe pozdrowienia.

Raj kobiet

Piękna serweta



Okrągła serweta filet z szerokim motywem kwiatowym w kształcie wianka. Wielkość serwety przy siatce o kratkach 6 mm, średnica = 1,57 m; przy 8 mm — 2,09 m; przy 10 mm — 2,61 m.

Wzór (Beyera) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 90 gr.

DOBRA GOSPODYNI

Szpinak ze śmietanką. Poobierane z szypułek liście szpinaku opłókać czysto, wyrzucić do gotującej się osolonej wody, zagotować przez 5 minut, odcedzić i kilkakrotnie przelać zimną wodą; tym sposobem zatrzymuje ładny zielony kolor. Gdy dobrze z wody ocieknie, posiekać go, przefasować przez sito włosienne i włożyć do rondla, w którym zasmażyć na biało, łyżkę masła z łyżką mąki i rozprowadzić pół szklanką słodkiej śmietanki. W ostateczności może być i mleko. Dodać trochę cukru do smaku i poddusić jeszcze szpinak, aż się dobrze wysadzi. — Podać do kotletów, cielęciny lub jako jarzynę, obłożony grzankami, kasztanami, omletem lub jajami sadzonemi na maśle.

Rzodkiewka duszona. Młodą niesłupiastą, okrągłą rzodkiewkę ostrugać z wierzchniej łupy, i posolić, zalać szklanką wody lub rosołu z dodaniem łyżki masła. Gdy już miękka, a sos się wysadzi, obsypać ją cukrem i obrumienić, a potem oprószyć mąką, zasmażyć i rozprowadzić sos kilku łyżkami rosołu lub wody z dodaniem pół łyżeczki Maggi. Rzodkiewka duszona w smaku przypomina kalarepkę, jest jednak o wiele delikatniejszą.

Sałata główiasta faszerowana. Kilka główek sałaty przekroić na ćwiartki, wypłókać odrzuciwszy wierzchnie listki i sparzyć wrzącą osoloną wodą. Gdy ocieknie dobrze z wody, rozłożyć na stolnicy i smarować farszem pomiędzy liśćmi. Farsz może być z mięsa wieprzowego lub z cielęciny, zmielonej na maszynce, wymieszanej z namoczoną w mleku i wyciśniętą bułką, solą, pieprzem, przysmażoną na maśle cebulką i z jednem całem jajem. Potem cząstki główek złożyć w całość w rondlu, wyłożonym plasterkami słoniny i dusić pod przykryciem, aż się sos zupełnie wysadzi.

Pieczone szparagi.

Miękko ugotowane szparagi układa w misce, pokrapia roztopionem masłem, posypuje grubą warstwą tartej bułeczki, którą się znowu masłem polewa. Na końcu — polewa się wszystko 1/10 l. kwaśnej śmietany. W ten sposób przyrządzone szparagi należy w piecu przez 15 min. piec.

Omlet z szpinaku, nadziewany szparagami.

Gotuje się główki szparagów w słonej wodzie, dopóki nie będą zupełnie miękkie, poczem mieszą się je z masłem i bułką tartą. Teraz przygotowuje się następujący omlet: Trzy żółtka ubija się, dodaje się 250 g. gęsto gotowanego i już oziębionego szpinaku, 30 g mąki, nieco soli i pianę z białek. Na patelni roztapia się 20 g. masła, nakłada na to całą masę i wszystko w piecu piecze. Następnie napełnia się poprzednio już przyrządzonemi główkami szparagów, przykrywa ciastem, obsypuje grubo parmezanem i podaje na stół.

PORADY KOSMETYCZNE

PIEGI

Kobiety dotknięte piegami muszą poświęcić dużo cierpliwości i starań, jeśli chcą odzyskać czystą cerę. W drogerjach i aptekach jest mnóstwo środków ogłaszanych jako bezkonkurencyjne, a w rzeczywistości bezwartościowych i nawet szkodliwych. Trzeba więc wielkiej ostrożności w ich wyborze, gdyż już niejednokrotnie spowodowały ostre podrażnienie skóry i długotrwałe wypryski. Najlepiej byłoby korzystać z wypróbowanych już środków i poleconych przez znane a wiarogodne osoby.

Piegi, ponieważ nie są zmianą naskórka, lecz tkwią w najgłębszych warstwach skóry, więc też i leczenie wymaga dłuższego czasu, a nawet musi być co roku powtarzane z nastaniem wiosny. Przy piegach, wystrzegać się należy — niestety — słońca i unikać czarnych kolorów.

Przeciw piegom istnieje wiele zaradczych domowych środków. Kilka z nich przytaczamy niżej.

Myć się stale w wodzie, w której cały dzień mokła pietruszka nietylko giną lub przynajmniej bledną piegi, ale i cera delikatnieje i bieleje. Smarować piegi świeżo wyciśniętym sokiem z cytryny, albo z niedojrzałych porzeczek. Jeżeli występuje pieczenie i zaczerwienienie skóry — zmyć letnią wodą i natrzeć tłuszczem. Zamoczyć kawałek waty w wodzie utlenionej i delikatnie zwilżyć twarz; nie obcierać, lecz pozwolić wyschnąć. Kto nie znosi czytego soku z cytryny, niech spróbuje następującej mieszaniny: 1 część wody różanej, 2 część soku cytrynowego. Dobrze zakłócić i po zmyciu zwilżyć miejsca pokryte piegami.

ZMARSZCZKI

Największym nieprzyjacielem piękności i młodości kobiety są zmarszczki. Przynosi je nietylkie wiek — czasem zjawiają się przedwcześnie.

Powody przedwczesnych zmarszczek są liczne i różnej natury: suchość skóry, złe przyzwyczajenie mimiczne, choroba, wychudzenie, długotrwałe zmartwienia, nocne czuwania, brak odpoczynku, wysoki stopień nerwowości — a w końcu mogą być następstwem nadużywania szkodliwych kosmetyków. Jakakolwiek bądź jest przyczyna zmarszczek, kobieta ma prawo i powinna starać się o ich usunięcie.

Przestrzec tylko należy przed nieuczciwie reklamowanemi środkami kosmetycznemi, jak kremy, wody itp. mającemi rzekomo usunąć zmarszczki. Stosowanie ich, to tylko strata czasu i pieniędzy.

Jedynym środkiem, który może częściowo usunąć zmarszczki i zapobiec ich dalszemu tworzeniu się — jest umiejętny masaż. Zaznaczamy umiejętny, bo to, co się uprawia w różnych instytucjach i salonach fryzjerskich, niema nic wspólnego z prawdziwym masażem.

Dziwne te rękoczyny wykonywane przez laików, przynoszą cerze nieobliczalną szkodę. To samo można powiedzieć o masażach uprawianych przez niektóre panie na sobie samych, podług rycin i ze słyszenia. O ile która nie przeszła kursu u specjalistki, nie powinna brać się do masażu.

Masaż jest sztuką, którą trzeba studjować teoretycznie i praktycznie, zapoznawszy się wprzód z anatomją. Ale na tem nie koniec. Trzeba go zawsze poprzedzić gimnastyką i umieć stosować indywidualnie. Działanie masażu należy wspomagać należytem odżywianiem zwiędłej skóry.

Takim znakomitym, odżywczym środkiem jest następujący płyn:

alkoholu ...	15 g
tynktury będźwinowej	2 g
ambrowcu	2 g
balsamu mekka	5 kropli

Stosuje się go w następujący sposób: do pół kwaterki wody wlać 5—6 kropli płynu, dopóki się woda nie zabieli. Umyć się tem wieczorem i nie obcierać twarzy,, lecz pozwolić zaschnąć na twarzy. Rano zmyć chłodną, przegotowaną wodą.

Doskonałym i godnym polecenia kosmetykiem przeciw zmarszkom jest następująco przyrządzony środek: przeźroczysty miód pszczelny miesza się z sokiem z jednej cytryny (100 gramów miodu z sokiem z jednej cytryny). Cieniutką warstewkę miodu należy wetrzeć w okolicę zmarszczek zaraz z rana, poczem po kwadransie zmyć zimną wodą. Cera dziwnie się wygładza po tym zabiegu i wygląda zupełnie świeżo.

HIGJENA I ZDROWIE

Krwotok z nosa. Choremu zabronić wycierać nos. Należy go posadzić, odchylając mocno głowę w tył. Położyć zimny okład na nos i kark, na kończyny okłady ciepłe. Otwór nosowy wypchać tamponem z waty lub gazy sterylizowanej, albo umaczanej w wodzie utlenionej.

Odparzenie. Na miejsce odparzone położyć okład z wody Burowa, przykryć ceratką i obandażować. W razie utworzenia się bąbla, należy go przekłuć przepaloną w ogniu igłą lub szpilką i zawartość jego wypuścić.

Omdlenie. Zemdlonego ułożyć tak, aby głowa znajdowała się możliwie nisko. Ubranie rozpiąć celem zapewnienia swobodnego krążenia krwi. Pryskać na twarz wodą zimną, rozcierać ciało. Dawać do wąchania eter lub amoniak. Nieprzytomnemu nie wlewać nic do ust, gdyż może się udusić, środki trzeźwiące (eter, krople walerjanowe) dawać dopiero wtedy, gdy chory przyjdzie do przytomności.

Stłuczenie. Na miejsce stłuczenia położyć natychmiast okład z wody zimnej lub z wody Burowa, przykryć ceratką i zabandażować.

Obce ciało z oka usunąć przez przemycie wodą lub też, odciągnąwszy dolną powiekę (a w razie potrzeby odwrócić górną powiekę), usunąć obce ciało rogiem chusteczki lub kawałkiem waty, umoczonej w wodzie. Jeżeli obce ciało znajduje się w uchu, nosie lub gardle, a wyjęcie go przedstawia pewne trudności, lepiej poczekać kilka godzin na lekarza.

Złamanie. Kończynę zupełnie unieruchomić, żadnych prób nadciągania, zestawienia — nie dokonywać. Wezwać lekarza.

Zwichnięcie. Na miejsce zwichnięcia kłaść okłady i wezwać lekarza.

Świat i życie

Wśród ludzi, żab, much i gołębi

(Kilka słów o jednym z największych w Polsce cyrków).

Pojęcie nazwiska Staniewskich związane jest ściśle z cyrkiem czteromasztowym wysypaną żółtym piaskiem areną, tudzież z zwierzętami wszelkiego rodzaju. Dlatego, kiedy przed paru miesiącami opowiadano sobie cichaczem, że Staniewscy przebudowują salę Domu Rzemieślniczego, byłem przekonany, że nastąpi remont tego rodzaju, iż zwierzęta występować będą na widowni, publiczność zaś, gwoli bezpieczeństwa własnego, siedzieć będzie na balkonach.

Niby coś w rodzaju zimowego cyrku. Tymczasem nie tak jest. Niema tam ani słonia, ani tygrysa, lwa, pantery, ani konia, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego (Staniewskiego) jest. Są natomiast ludzie i... drobniejsze zwierzęta domowe. A więc: kaczki, gołębie, człowiek-żaba, człowiek-mucha i dobrze nam znana Mela Grabowska.

Od pierwszego numeru do ostatniego bardzo sympatycznie. Nawet podczas przerwy. Czytać można wtedy po ścianach różne „złote myśli": „Dyrekcja — to Ty", albo: „Jesteś niezadowolony, powiedz nam" albo: „Płać i wymagaj", albo wreszcie pocieszające wezwanie: Gdy siedzisz u nas, nie obawiaj się teściowej".

Istotnie, jestem przekonany, że nawet teściowa zmięknie, przypatrzywszy się gołębiemu sercu kaczki czy gołębia. „Płać i wymagaj!" — Nie płaciłem wprawdzie, ale chociaż nie płacę, wymagam.

Naprzód wychodzi dziewica o kształtach tak porywających, że we mnie wzbudzają zachwyt i... zazdrość. Nic nie mówi, tylko przebiega wpoprzek estrady z wielkim numerkiem, pocczem robi wdzięczny „knyks" i już jej niema. To już jest jeden ładny numerek!. Z czułością oczekiwałem pojawienia się tej istoty, która usposobiła mnie korzystnie dla całej imprezy.

Pojawia się na scenie człowiek nieprawdopodobny. Żongler i akrobata w najlepszym stylu. Wyprawia nieprawdopodbne kawałki. Nam zdaje się naprzykład, że nogi służą wyłącznie do chodzenia, ślizgania się, upadania czy kopania bliźniego w nieczułe miejsce, a ręce do zjadania chleba i podpisywania weksli. U niego — można rzec — wprost przeciwnie. Przez pół godziny „chodzi" na rękach ba, biega nawet — gorzej, chodzi po tychże rękach po schodach na trzecie piętro. Przepraszam, trochę przesadziłem, ale na drugie wejdzie. Nogi są mu najzupełniej zbyteczne, w związku z tem również buty, skarpetki itp...

Albo taki człowiek — żaba, niezwykły kontorsjonista. — Odpowiednio ubrany, sprawia zupełne wrażenie dobrze „wyrośniętej" żaby, robi zaś sztuczki, o których żabom się nawet nie śniło. Żaba w stawie umyć się nie może w stosunku do niego. Jest też w stawach tak pokręcony, że nogi zakłada ponad głową z taką perfekcją, jak to czyni rozmarzona dziewica z rękami. Poza tem wzdycha, jak żaba — przepraszam, jak dziewica. To znów ręce i nogi tak pokiereszuje, że niepodobną jest zorjentować się, gdzie rozum. Poprostu robi ze siebie kupę człowieczego jestestwa tak małą, że można by ją łatwo zamknąć w torebce, która — no, któraby ją pomieściła. To jest w torebce odpowiedniej małości.

Podziwu godne są również zwierzęta. Naprzykład kaczka, która śpiewa z całym znakomiłym zresztą, zespołem walca. I to na pamięć. Tego nam zatem pyszny dowód, że sam wrodzony talent nic nie pomoże, o ile się nad nim rzetelnie nie popracuje. Praca, praca i jeszcze raz praca — może ta kaczka o sobie powiedzieć i niejedna nasza gęś, któraby zechciała wystąpić na scenie, niech idzie za przykładem tej kaczki. Wprawdzie trzeba zauważyć, że pod koniec trochę pomyliła się w melodji — być może kacza trema ją ogarnęła. Ale na reszta zespołu znajdzie radę: poprostu kładzie się na pulpit przed „śpiewaczką" nuty, i idzie dalej w najlepszym porządeczku.

Jestem hodowcą rasowych gołębi, znam ich serce i wiem co nieco o tych stworzeniach. Lubię szczególnie pawiki, garłacze, ryse polskie, sztrasery, „dancingery", „wyrfle" czyli wywrotki, a już najbardziej... smażone. Dlatego z prawdziwem zaciekawieniem podziwiałem osobliwe „numery" tych miłych i „przeważnie" niesmażonych ptasząt. I przyznam, z lekką obawą patrzałem, jak te dziesiątki białych pawików siadały na swej mistrzyni, pani Gilbert. One przecież rozmaicie się zachowują, ale... jedzenie dostają dopiero po przedstawieniu. Nie wiadomo, czy tylko w nagrodę, czy też z innych względów... Słowem, niczego nie zauważyłem.

Na uwagę zasługują bezwzględnie wszyscy wykonawcy. Ale wiadomo, brak miejsca itd.

Aha, Melę Grabowską pamiętają niektórzy jeszcze bardzo dobrze. Jej ukazanie wywołuje poruszenie miłe i na sali i robi „uprzednie" oklaski. Jeszcze wciąż „bierze" i zawsze musi bisować.

Music hall Staniewskich ma wielkie powodzenie w Polsce. Co 1 i co 16 zmiana programu, to zn., że za każdym razem występuje nowy zespół.

Cyrk posiada zatem rację bytu i życia. Ludzie bowiem lubią owę karkołomne ekwilibrystyki, które idę numer po numerze, a po każdym człowiek wprost poci się z emocji.

Jeszcze człowiek z jednych potów nie wyschnie, już idą następne. A więc zdrowo jest i wesoło. Wierzycie, państwo, czy nie — ale ja sam do tej chwili jeszcze nie jestem suchy.

T. Z. H.

Lotnik

— Przyszliśmy pani pogratulować — powiedzieli młodzi oficerowie-piloci, ściskając Marcie serdecznie dłoń.

— Pogratulować? Bo co się stało? — zawołała zdziwiona.

— Wiedzieliśmy doskonale, że nasze władze zdają sobie sprawę z rekordowego wyczynu męża pani — począł jej wyjaśniać jeden z oficerów. — Lot Stefana do Azji — to rzeczywiście było wielkie wydarzenie w życiu naszego lotnictwa. Obecnie okazało się, że władze w pełni doceniły zasługi Stefana. W najbliższym dzienniku personalnym ukaże się wiadomość o jego awansie. Tak, droga pani Marto, Stefan jest już kapitanem. Prócz tego zaś ma otrzymać znaczną nagrodę pieniężną.

— Czy to prawda? Czy wy nie żartujecie? — krzyknęła Marta, nie chcąc wierzyć w tak wielkie szczęście.

— Wiadomość jest najpewniejsza. Przyszliśwłaśnie pogratulować Stefanowi. Pewno śpi teraz prawda? Przecież dopiero wczoraj powrócił z tej niebezpiecznej wyprawy — otrzymała odpowiedź.

— Właśnie, że nie śpi — rzekła Marta. — Dziś przyjechał do nas jego ojciec. Kochany staruszek mieszka na głuchej wsi i nigdy do tej pory nie jeździł samolotem. Stefan zawiózł go na lotnisko. Mam wrażenie, że przeleci się z nim.

— Wobec tego przyjedziemy za godzinę — powiedział jeden z lotników. — Pragniemy mu osobiście powinszować.

Pożegnali się serdecznie z uszczęśliwioną Martą i wyszli.

Gdy młoda kobieta została sama, upadła na kanapę i rozpłakała się jak małe dziecko.

Otatnie cztery tygodnie stanowiły najstraszniejszy okres w jej życiu.

Stefan, młody porucznik lotnictwa, oddawna już marzył o większej wyprawie. W ciągu wielu miesięcy opracowywał plan przelotu nad Azją, który wszyscy fachowcy uznali za nadzwyczaj niebezpieczny.

Daremnie starali się wpłynąć na lotnika, by zaniechał swego zamiaru.

— Wiem, że narażam się na niebezpieczeństwo — odpowiedział wszystkim — ale przecież tylko w ten sposób zwrócę na siebie uwagę najwyższych sfer lotniczych. Trudno, jestem człowiekiem ambitnym i pragnę wykazać swe zdolności.

Marta płakała po kątach. Wiedziała, że Stefan nie zrezygnuje ze swej wyprawy, dlatego też wolała mu się nie przeciwstawiać.

Tego wieczoru, gdy uzyskał zezwolenie swych władz na podjęcie lotu, rozmawiał z nią przez szereg godzin.

— Wiem, drogie dziecko, co ty teraz przeżywasz — mówił jej. — Ale trudno, skoro zostałaś żoną lotnika, musisz mieć mocne nerwy. Pamiętaj, że jesteś dla mnie najdroższą istotą na świecie. Przez cały czas mej podróży będę myślał tylko o tobie i o szczęściu, które nas czeka, gdy moja wyprawa się powiedzie.

Marta z trudnością panowała nad sobą.

Nie uroniła jednak ani jednej łzy. Musiała przecież mieć mocne nerwy. Tego żądał Stefan, a jego wola była dla niej święta.

Gdy nazajutrz rano żegnali się na lotnisku, zachowywała się również, jak prawdziwy bohater.

A później przyszły męczące dnie oczekiwania.

Pierwsze wiadomości o locie były nadzwyczaj pomyślne. Wszystkie meldunki stwierdzały zgodnie, że Stefan leci z dużą szybkością i że mu nic absolutnie nie grozi.

Później jednak przyszła wiadomość, że natrafił na burzę.

Marcie nie powiedziano, że mu grozi niebezpieczeństwo. Władze lotnicze przez szereg godzin nawet już uważały Stefana za straconego.

Ale dzielny lotnik wyszedł obronną ręką z niebezpieczeństwa.

Wprawdzie aparat został lekko uszkodzony, ale Stefan szybko go naprawił na jakiemś lotnisku i kontynuował swój brawurowy lot.

I po ośmiu dniach, jako zwycięzca wrócił z wyprawy.

To były najszczęśliwsze chwile...

Marta szalała z radości! Jej mąż, jej Stefan był bohaterem! Wszystkie pisma gratulowały mu spowodu zwycięstwa, opisując jego lot z największą dokładnością, wysocy dostojnicy państwowi całowali się z nim i ściskali mu ręce!

To było dopiero wczoraj.

Marta jeszcze nie zdołała ochłonąć z przeżytych wrażeń.

I teraz nadeszła nowa, radosna wiadomość. Stefan otrzymał awans i nagrodę!

Najwyżej za godzinę powróci do domu.

Marta jak szalona wybiegła z mieszkania. Postanowiła kupić trunki i zakąski.

Przecież wkrótce przyjdą wszyscy koledzy, by im winszować. Muszą ich godnie przyjąć.

Po kilkunastu minutach wróciła. Nakryła stół śnieżno-białym obrusem, ustawiła całą baterję butelek i talerze.

Po godzinie, w odświetnej sukni, zasiadła przy radju.

Orkiestra taneczna grała jakąś wesołą melodję.

— Będziemy dziś tańczyć do białego rana! — pomyślała i roześmiała się sama do siebie.

W tej chwili rozległ się dzwonek.

— Stefan! — krzyknęła! — Stefanku! Powinszuj mi! Jestem panią kapitanową!

Nie, to nie był Stefan.

To byli jego przyjaciele-lotnicy.

Przyszli poraz drugi, by złożyć gratulacje.

— Jeszcze nie wrócił — powiedziała im. — Siadajcie panowie... Pewno za parę chwil zjawi się ze swym ojczulkiem.

Młodzi mężczyźni zajęli miejsca przy stole.

Marta napełniła kieliszek. Nalała nawet dla Stefana i jego ojca.

— Gdy tylko przyjdą, wypijemy na jego cześć — powiedziała wesoło.

Upłonęło jeszcze kilka minut.

Zadzwonił telefon.

— Samolot, w którym znajdował się Stefan wraz ze swym ojcem, przy lądowaniu zapalił się z niewiadomej przyczyny. Obaj mężczyźni ponieśli śmierć w płomieniach.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 87)

„Szczęśliwy, kto miejsce to dostanie“, zawołała Elżbieta. „Polowanie na zachodzie Ameryki i w towarzystwie człowieka, zapewne głęboko wykształconego, bo z wysokiego rodu.“

Nagle odrzuciła gazetę i rzekła stanowczym głosem:

„Czemuż ja nie mogłabym dostać tego miejsca? Dlatego, żem nie chłopiec? Gdybym się po męsku ubrała, któż pozna, żem dziewczyna? Za życia ojca, czyż nieraz dla żartu nie ubierałam się po męsku w myśliwskie ubranie, w którym mi było do twarzy? Spróbuję!“

W następnej chwili jednak przygasł ogień w jej oczach.

„Czy nie za szalona myśl“, mówiła do siebie, „mam się wkradać w zaufanie czyjeś w przebraniu? Ten człowiek, któryby mię może przyjął, chce mieć kogoś zapewne u swego boku, któryby w niebezpieczeństwie nie zlekceważyłby sprawy. Ale ja przecież potrafię także być waleczną! Pasowałam się za oceanem! Jeżelim wtedy przed śmiercią nie drżała, to nie ulęknę się jej, gdyby zwierz dziki rzucał się na mnie lub na mego pana. Mój ojciec był żołnierzem, czuję krew jego w mych żyłach. — Obchodzić się z bronią na szczęście umiem także. Na dwadzieścia kroków strzelam do asa z kart. Pod tym względem więc nie zdradziłabym położonego we mnie zaufania! — A prawdopodobnie będzie to jakiś starszy człowiek. — Może dziwak jaki, któremu nudno w domu i szuka rozrywki w zachodnio-amerykańskich lasach. Bać się go nie będę potrzebowała, — ale skąd wziąć ubranie? Mam się udać do Chaima? Czy nie będzie to niebezpiecznie wciągać go do tajemnicy? Zadużo gada. Chociaż mi jest oddany, może się łatwo wygadać i plan mój przed kim zdradzić. — Nie, lepiej będzie, gdy mu nic o tem nie wspomnę! Ale za to — ty mój klejnocie, będziesz się musiał pożegnać ze mną na jakiś czas“ — ciągnęła dalej, wyjmując z gorsetu złoty zegarek i przyciskając go do ust. „To ostatnia próba, — jeżeli i ta się nie uda, natenczas wszystko stracone i nic mi więcej nie pozostaje. — Ale serce moje powiada mi, że się uda — mówi mi jakieś przeczucie. Naprzód więc — do dzieła!“

Silny duch mieszkał w tej wątłej istocie. Prędko ubrała się, włożyła kapelusz na głowę i wyszła z mieszkania.

Gdy stanęła przed drzwiami domu, wydało się jej wszystko, jakby w innem świetle. — Tak jej jakoś było lekko na duszy i sercu! — Miała pewny plan przed sobą, — to ją ożywiało i napełniało nową nadzieją.

Myśl dostania się w niebotyczne lasy Ameryki zachodniej, zapełniała fantazję dziewczęcą czarownymi obrazami. W tej chwili, jak Elżbieta wyszła na ulicę, stary jakiś pan ze złotemi okularami, który od niejakiego czasu na trotuarze z przeciwnej strony nieustannie spoglądał do okna jej mieszkania, — cofnął się w cień wnęki.

Następnie trzymając się w pewnem oddaleniu, podążył za nią, nie spuszczając jej ani na chwilę z oka.

Uważny czytelnik odgadnie, że tym panem nie był nikt inny, jak doktór Morizano.

Dziewczynę poznał naturalnie w tej chwili. Cieszył się w duszy, że odkrył wreszcie ślady zwierzyny, której tak długo szukał. Był zdecydowany śladu tego pod żadnym warunkiem nie stracić z oczu i dążyć za Elżbietą, gdziekolwiekby szła.

Jakże się zdziwił, gdy zobaczył, że dziewczyna po kilkuminutowym chodzie weszła do domu, gdzie był lombard.

Czekał cierpliwie z kwadrans, aż Elżbieta ukazała się znowu na ulicy. Gdy przeszła poprzed niego, podążył dalej za nią, ciekawy, dokąd się teraz uda.

Elżbieta przechodziła z jednej ulicy na drugą, aż wkońcu dostała się do dzielnicy, zamieszkałej przez dość biedną ludność.

Stanęła przed wystawą tandeciarza. Wejście do sklepu i wystawa zapchane były najrozmaitszymi przedmiotami, na sprzedaż wystawionymi: po większej części stare, używane rzeczy, która za pośrednictwem tandeciarza zmieniały swego właściciela.

Były tam suknie męskie i damskie, kapelusze, obuwie, broń, szable i pistolety, szachy, tabakierki, sprzęty kuchenne, krótko mówiąc, czego tylko komu trzeba i na co tandeciarz może się spodziewać znaleźć kupca.

Głową potrząsając ze zdziwienia, patrzał doktor Mortizano, jak Elżbieta do tego sklepu weszła. Stanęła na boku i czekał.

Ku wchodzącej Elżbiecie podszedł mężczyzna, po którego czerwonych włosach i wymowie wnosić było można, że był to stary, podstępny Irlandczyk.

„Czego sobie miss życzy?“ pytał, badawczym Elżbietę obrzucając wzrokiem.

„Chciałabym kupić ubranie myśliwskie, ale czyste i dobrze utrzymane.“

„Myśliwskie? Niestety dla pań nie mam,“ odrzekł Irlandczyk.

„Nie żądałam też takiego, — proszę o strój męski.“

„A tak, — pani potrzebuje dla kogoś, — to znowu co innego. Mam bardzo ładne kostjumy. Ale miarę muszę mieć.“

„Ażeby na mnie dyło dobre.“ odparła dziewczyna, którą Irlandczyk nieufnym wzrokiem mierzył.

Z ciężkiem sercem zdecydowała się Elżbieta, użyć kłamstwa. Musiała, gdyż Irlandczyk mógł sądzić, że ma ze zbrodniarką jaką do czynienia, która w przebraniu chce chronić się przed policją.

„Mam zamiar iść na bal maskowy,“ rzekła Elżbieta, „teraz panu zdaje się już jasno, — jakiej miary ubrania mi potrzeba.“

Irlandczyk przerzucał czas jakiś cały stos ubrań, — w końcu wydobył bardzo piękne myśliwskie ubranie, z



Podobnie, jak u nas pilnuje nieraz samochodu pies, tak samo w Australji widzi się jako stróża pojazdu — kangura. „Co kraj, to obyczaj“.

brunatnej materji, z wąskiemi, zielonemi burtami.

„Sądzisz pan, że strój ten będzie na mnie dobry?“

„Proszę spróbować. Za sklepem jest izdebka, w której pani zupełnie nieżenowana może zmienić suknie.“

Elżbieta zarumieniła się, — przyznała mu jednak w myśli słuszność, że to jedyny sposób, by nabyć dobrze przystające suknie.

„Dobrze więc,“ rzekła, „lecz gdzież buty i czapka, które są do tego kostjumu niezbędnie potrzebne?“

„Oto buty,“ ozwał się Irlandczyk, wyciągając z szuflady eleganckie obuwie z nabijanymi, żółtymi guzikami.

„I o czapkę postaramy się zaraz. Najważniejsza rzecz, czy ubranie będzie dla pani odpowiedne.“

Elżbieta cofnęła się do wskazanej jej izdebki, przebrała się szybko, — i nadspodziewanie, strój leżał na niej, jakby umyślnie zrobiony. Gdy obejrzała się w lustrze, aż pokraśniała z zadowolenia. Miała przed sobą widok przystojnego młodzieńca.

Odznaczała się delikatną budową ciała; nie zdradzał jednak jej pięknych kształtów.

Irlandczyk szukał czapkę, podczas gdy Elżbieta zmieniła szybko fryzurę, Elżbieta włożyła ją na głowę, ozdobioną pięknymi, jasnymi lokami.

„Myśliwy wygląda głupio bez broni!“ zawołała młoda dziewczyna, „przynajmniej muszę mieć strzelbę na jelenie.“

„Proszę!“ zawołał handlarz i pokazał jej dobrze sporządzoną broń, która była przyczepiona do niezbędnego paska ze skóry.

Dosyć długo trwało, zanim dobiła targu z handlarzem.

Irlandczyk był wytrawnym kupcem, a jako taki chciał wyzyskać młodą dziewczynę. Elżbieta miała się jednak na baczności, a Irlandczyk złorzecząc i wzruszając ramionami zgodził się wreszcie na połowę ceny.

„Co zrobimy z temi sukniami?“ zapytał handlarz.

„Sprzedam je panu,“ odparła Elżbieta, upewniwszy się błyskawicznym ruchem ręki, że kosztowny list znajduje się na jej piersi.

Irlandczyk zaofiarował możliwą kwotę, skutkiem czego interes został zawarty w przeciągu kilku minut.

Doktor Morizano czatował koło drzwi prowadzących do sklepu, jak lis na upatrzoną zdobycz.

Nagle zobaczył zamiast Elżbiety młodego rosłego mężczyznę, wychodzącego na ulicę.

Miał właśnie zamiar nie zważać dłużej na tego młodzieńca, — Elżbieta oddaliła się od niego o jakie dwadzieścia kroków, — gdy nagle wypadła jej na bruk strzelba, którą niosła w ręce.

Młody mężczyzna, który właśnie tamtędy przechodził, podskoczył, podniósł strzelbę i podał ją myśliwemu.

„Dziękuję panu,“ rzekła Elżbieta i zrobiła ukłon, jak każda dobrze wychowana panienka.

„To ona“, szepnął równocześnie Morizano, „przebrała się! — Do djabła, tego nie rozumiem! Teraz będę ją śledził, nawet gdybym musiał latać za nią cały dzień aż do nocy. Nie powinienem ją spuścić z oczu. Ach, sprowadzę ją podstępem do mojego domu na Lone Island, — a gdy ją będę miał znowu w bezpiecznej celi, to z pewnością nie ucieknie mi więcej. — Zawiozę ją do Anglji, jeżeli młodą lady nie spotka przedtem jakieś nieszczęście, jak naprzykład zaziębienie, któreby się stało powodem jej śmierci. Taki wypadek ucieszyłby bardzo wszystkich krewnych w Londynie.“

Ów młody mężczyzna, który podał broń Elżbiecie, zauważył również dziwny ukłon. Zdziwiony spojrzał na twarz młodzieńca. Elżbieta spostrzegła również swoją niezgrabność.

Podziękowała jeszcze raz i pobiegła prędko dalej, obiecując sobie, że lepiej będzie zważać na siebie i w przyszłości nie zdradzi więcej swej płci podobną niezgrabnością.

Za złoty zegarek, który zastawiła, otrzymała tyle pieniędzy, że po kupieniu ubrania pozostało jej jeszcze dwadzieścia dolarów. Ponadto miała także pieniądze za sprzedane suknie. Posiadała więc pewne materjalne środki.

Dlatego mogła pozwolić sobie na zbytek i jechać koleją do piątej avenue. Południe zbliżało się, a słońce odbijało się całym żarem o kamienie Nowego Jorku. Droga piechotą do hotelu „Lincoln“ byłaby zanadto uciążliwa.

Gdy Elżbieta usiadła w wagonie kolei miejskiej, Morizano usadowił się w następnym rzędzie tego samego wagonu i zachowywał się w ten sposób, że go nie mogła zauważyć.

Po upływie dwudziestu minut pociąg zatrzymał się na piątej avenue. Po chwili Elżbieta weszła do zbytkownego westybulu w hotelu „Lincoln,“ który należy do pierwszorzędnych domów w Nowym Jorku. Tutaj zatrzymają się osoby z najwyższych sfer, ponieważ tylko bogaci ludzie mogą płacić za kolosalny zbytek, którym tchnie cały budynek hotelu.

Portjer hotelowy zbliża się do Elżbiety i zapytał ją co sobie życzy.



Miły obrazek z Filipin, które mają w przyszłości uwolnić się zupełnie z pod panowania amerykańskiego i usamodzielnić się.

„Czytałem ogłoszenie,“ odparła Elżbieta, zniżając swój głos, „jeden gość z tego hotelu poszukuje młodego służącego. — Niech pan będzie tak łaskawy i zamelduje mnie u tego pana.“

„Ów pan właśnie wrócił przed chwilą,“ odparł portjer, „zobaczę czy przyjmuje. Nazwisko pańskie? — Nie wymieniłeś mi pan dotychczas swego nazwiska.

Elżbieta stała jakby rażona piorunem. Nie pomyślała wcale, że nazwisko, które nosiła, nie pasowało do jej zmienionej płci.

„Zdaje się, że pan namyślasz się nad swojem nazwiskiem“, zaśmiał się portjer, „albo też jesteś pan tajemniczą osobistością, która nie chce wymienić nazwiska?“

„O, nigdy w świecie!“ zapewniła Elżbieta, „jestem zdumiony tylko tą elegancją. W mojem życiu nie widziałem coś podobnego.“

„Ha, ha, wierzę mocno! Tak, hotel „Lincoln“ warto widzieć! Przypomniałeś pan już swoje nazwisko?“

„Nazywam się Bob Raven,“ odparła Elżbieta, ponieważ w tej chwili nie wpadło jej nic lepszego do głowy.

Portjer wsiadł do windy, prowadzącej na pierwsze piętro; — po chwili zjawił się znowu przed Elżbietą.

„Proszę na górę,“ przemówił, „pan hrabia raczy przyjąć. Zajmuje pokoje pod numerem siódmym do jedenastego.“

Elżbiecie biło gwałtownie dziewicze serce, gdy znalazła się przed drzwiami, za któremi miały się rozstrzygnąć jej losy. Postanowiła jednak być silną i dążyć wytrwale do celu.

Szybkim ruchem wyprostowała swoją postać i zapukała śmiało do drzwi.

„Proszę,“ odezwał się głos z pokoju.

Elżbieta otworzyła drzwi, przekroczyła próg i w następnej chwili nie dużo brakowało, a jej piękny zamiar byłby prysnął jak bańka mydlana. Zamiast starego pana, oryginała, który chciał polować w zachodnio-amerykańskich lasach, zobaczyła przed sobą młodego, pięknego mężczyznę.

Serce zabiło jej jak młotem, a dziewicza pierś zadrżała silnem falowaniem.

„Zbliż się, młody człowieku,“ zawołał elegancko ubrany mężczyzna; „przyszedłeś pan z zamiarem starania się u mnie o miejsce służącego? — Proszę o nazwisko!“

„Bob Raven,“ odparła Elżbieta, bezwiednie spuściła oczy; wiedziała, że gra fałszywą rolę, niegodną jej. osoby.

„Bob Raven, wyglądasz na młodzieniaszka!“

„Mam siedemnaście lat, sir.“

„Czujesz pan dość sił na trudy, które nas czekają w leśnych puszczach Ameryki? — Masz wcale delikatną postawę!“

„Panie, to się tylko tak zdaje,“ odparła pospiesznie Elżbieta, „moje ciało jest przyzwyczajone do niewygód, — niech pan będzie zupełnie spokojny. Oh, błagam, przyjmij mnie pan na służącego i zrób przynajmniej małą próbę. Przekona się pan wkrótce, że będę wiernym, pewnym lokajem, który zrobi wszystko, co pan od niego zażąda, który nigdy nie będzie szemrał i na wszystko się zgodzi, — słowem, człowiekiem, który poświęci panu własne życie, — ponieważ, — sam nie wie, co z niem począć,“ dodała melancholijnie młoda dziewczyna, a nie dużo brakowało, żeby w jej oku nie pojawiła się łza, któraby wszystko zdradziła.

Zachowanie młodego mężczyzny, — nieznajomy pan musiał uważać Elżbietę za chłopaka, — miało w sobie coś ujmującego i pociągającego, tak, że obcy pan poczuł sympatję do nieznanego przybysza.

„Bob Raven, zastanowiłeś się pan nad tem,“ zapytał, „że się narażasz na pewne niebezpieczeństwo, jeżeli pojedziesz

ze mną na zachód? Śmierć będzie nam często grozić, a w pańskim wieku pragnie się gorąco życia.“

„Oh, mój panie,“ odparła Elżbieta, skłaniając swoją jasną główkę, „dotychczas nie zaznałem rozkoszy, skutkiem czego nie boję się śmierci.“

„Czy rzeczywiście panu się tak źle powodziło? — Opowiedz mi pan swoją przeszłość. Gdzieś pan bywał dotychczas, — coś pan robił i czem się trudnił?“

„Proszę, — proszę,“ zawołała Elżbieta pokornym głosem i spojrzała błagająco, „nie żądaj pan odemnie mojej przeszłości. Niech mi pan wierzy i zaufa, mimo że nie pokażę panu ani moich świadectw, ani dokumentów.“

W Ameryce nie przykłada się do tego zbyt wielkiej wagi.

W tym kraju patrzy się w oczy człowiekowi, którego się pragnie pozyskać, a wobec poczciwego, wiernego oblicza każdy chętnie rezygnuje z innych dowodów, kierując się wewnętrznym głosem.

„Wierzę wam“, zawołał obcy pan; „Bob, bądź pewien, że pozyskasz moje zaufanie. — Pozwól mi rękę, pojedziesz ze mną na daleki zachód.“

Okrzyk radości wydarł się z ust Elżbiety, a prawa ręka, którą złożyła w dłoni swojego pana, drżała gwałtownie.

Walczyła ze łzami, a jej dziewicza pierś wznosiła się tak szybkimi ruchami, że poczęła się nawet obawiać, by bystry wzrok młodego mężczyzny nie rozpoznał w niej ukrytej dziewczyny.

„Panie“, zawołała Elżbieta i położyła równocześnie drugą rękę na sercu, „biedny Bob pozostanie wiernym sługą. W razie potrzeby poświęci panu własne życie. — Sądzę, że pan będzie z niego zawsze zadowolony.“

„Spodziewam się, mój Bobie,“ przemówił poważnie i spokojnie młody mężczyzna. „Pragnę mieć przy sobie nie tyle służącego, ile raczej przyjaciela, idę bowiem niebezpieczną drogą. Dlatego uważam za swój obowiązek i ostrzegam cię jeszcze raz, że będę żądał od ciebie niezwykłych przysług. — Wyjawię ci całą prawdę, gdyż tylko prawda wiąże ludzi najprędzej przyjacielskim węzłem. — Podałem w ogłoszeniu, że poszukuję strzelca na myśliwską wycieczkę. Nie wyraziłem się jednak w tym względzie zbyt dokładnie. Wprawdzie poluję, lecz nie rozchodzi mi się o właściwą dziczyznę. Nie gonię za tą okrutną, krwawą rozrywką, jak owi strzelcy, którzy dążą hen na zachód, byle tylko ubić bawoła, albo szybkiego jelenia. — Nie, zwierzyna, na którą poluję, posiada daleko szlachetniejszą naturę! — Przyjechałem z Polski do tego obcego kraju, celem odszukania jednej dziewczyny, drogiej mojemu sercu, biednej ofiary, która prawdopodobnie zabłąkała się w olbrzymich puszczach Ameryki.

„Kocham ją nad życie. Nieszczęsne stosunki wydarły mi ją z ojcowskiego domu, ze szczęścia i ojczyzny. Wielkie zadanie mojego życia polega tylko na odszukaniu owej młodej damy, i nie spocznę pierwej dopóki nie poszczęści mi się mój zamiar. — Niestety nie da się przewidzieć, jak długo potrwają moje poszukiwania. Ameryka, to rozległy kraj; po drugie nie wiem, czy moja kochanka znajduje się rzeczywiście w tym kraju. Może opuściła już tę ziemię i udała się na inny kraniec świata. — W takim razie podążę za nią. Widzisz, więc, że będę dużo żądał od ciebie. Musimy badać bez wytchnienia ślady zaginionej. A dopiero wówczas, gdy ją odnajdziemy, będziesz mógł mię opuścić, jeżelibyś przedtem już nie podziękował mi za służbę.“

„Oh, nigdy, — nigdy nie uczynię tego!“ zawołała Elżbieta w szlachetnem natchnieniu, „żądanie, które pan spełnia, jest za święte i zanadto wzniosłe. Będę szczęśliwą, jeżeliby mi się udało dopomóc panu i być dla niego pewną podporą. — Teraz błagam pana tem bardziej: proszę mnie zatrzymać przy sobie, niech mnie pan weźmie na służbę, — pozwól mi pan szukać zaginionej kochanki!“

„Podobasz mi się coraz bardziej!“ odparł nowy pan Elżbiety. „Tak, pozostaniemy razem! Jutro opuścimy Nowy Jork! Tymczasem trzeba załatwić jeszcze kilka przygotowań do podróży. Nawet nie zapytałem się, czy jesteś rodzonym Amerykaninem?“

„Nie, sir, pochodzę z Anglji!“

„Anglik? — Szkoda, prawdopodobnie nie znasz bliżej twojej obecnej ojczyzny?“

„Nie, sir! Jednak braki nieświadomości uzupełnię skwapliwą gorliwością.“

„Masz krewnych lub rodziców w Nowym Jorku?“

„Nikogo na całym, dużym świecie!“

„Jakto, zupełnie sam? Żałuję cię, chłopcze! Od tej chwili posiadasz we mnie dobrego przyjaciela, który cię nigdy nie zawiedzie, jeżeli tylko zasłużysz na to. — Prawda, nawet nie wiesz, jak się nazywa twój nowy pan: — jestem polskim szlachcicem, — mój zamek wznosi się na skalistym szczycie, moje nazwisko: hrabia Kazimierz Zamski.“



W Stratford nad Avonem odbyła się w kwietniu wielka uroczystość. Anglicy obchodzili rocznicę urodzin i jednocześnie śmierci swego największego poety — Szekspira.

„Hrabia Kazimierz Zamski? — Miłosierny Boże, niezbadane są Twoje drogi!“

Te słowa spadły z warg Elżbiety jak piorun i obiły się potężnie o duszę Kazimierza. Wymówiła je z ową niezwykłą siłą i przekonywującą potęgą, która towarzyszy tylko słowom wpadającym jak słoneczne promienie do ponurej nocy.“

„Hrabia Kazimierz Zamski?“ powtórzyła Elżbieta jeszcze raz; „to nazwisko nie jest mi obce. Słyszałem je często z ust, które tęskniły za straconym ideałem. A gdy to nazwisko obiło się o moje uszy, widziałem zawsze załzawione oczy i piękną główkę, opadającą na piersi. — Jesteś pan hrabią Zamskim? — Oh, widocznie Bóg sprowadził mię do pana.“

„Bob, — chłopcze, co znaczy to wzruszenie, — co ci się stało? Gdzie, — gdzie słyszałeś moje nazwisko? — Oh, mów, patrz, stoję jak na mękach, — powiedz mi wszystko, — mów wyraźnie, krótko i węzłowato.“

„Panie, będę mówił! — Proszę, niech mi pan powie imię tej osoby, której ślady zawiodły pana do Ameryki. — Jak się nazywa kochanka pańskiego serca?“

Kazimierz oniemiał. Dotychczas nie wyjawił nikomu swojej tajemnicy, odkąd opuścił zamek Sokolskich. — Postanowił sobie nie zdradzić się przed nikim, obawiał się bowiem, by jakaś nieprzyjazna ręka nie pomieszała mu całego planu. — Lecz jedno spojrzenie, rzucone w oczy domniemanego chłopca wystarczyło na rozproszenie wszelkich podejrzeń. Twarze Elżbiety była istnym obrazem szlachetności i prawości.

Zanim jednak zdołał odpowiedzieć, odezwała się drżącym głosem:

„Proszę, niech pan mówi; czy tej dziewczynie, którą pan szuka w leśnych puszczach Ameryki, nie jest na imię — Anielcia?“

Hrabia Kazimierz zbladł. Promienie słoneczne, które wpadły do pokoju przez wysokie okno, otaczały jasnością jego szlachetną postać i oświecały tę twarz jakby wykutą z marmuru.

„Anielcia?“ zawołał, „tak, Anielcia! Chłopcze, kto ci powiedział to imię? — Święty Boże w niebiesiech, często okazałeś mi Twoją łaskę i dobroć, dopomóż mi więc w tej chwili i pozwól, by się urzeczywistniły moje przeczucia. — Bob, znasz ty Anielcię?“

„Jeżeli pan poszukuje Anielcię Dubois, — znam ją,“ odpowiedziała śmiało Elżbieta.

Okrzyk rozległ się w pokoju. Te słowa wypowiedziane przez przebraną młodą dziewczynę, wywarły na Kazimierzu takie potężne wrażenie, że upadł bezwładnie na stołek.

„Panie, — co się stało?“ zawołała Elżbieta i zbliżyła się szybko do niego. Kazimierz jednak ujął jej rękę, uścisnął ją drżącą dłonią i odparł cichym, przerywanym głosem:

„Więc znałeś Anielcię? — Oh, powiedz mi wszystko. Gdzie, — gdzie ją poznałeś? Ach, każde słowo, każda wskazówka jest dla mnie nieocenionym skarbem.

„Boże, tak długo szukałem i badałem, niestety wszystko naprożno! Ukochana postać Anielci okryła się nieprzeniknionym mrokiem! Chłopcze, dopiero z twoich ust posłyszałem po raz pierwszy jej drogie nazwisko.“

„Opowiem wszystko panu hrabiemu,“ rzekła Elżbieta, „nie tylko, gdzie się poznałem z Anielcią, lecz co ważniejsza, gdzie ją pan obecnie może odnaleźć.“

„Chłopcze, znasz jej miejsce pobytu?“

„Tak jest. ponieważ Anielcia Dubois jest moją przyjaciółką. Przed dwoma tygodniami otrzymałem od niej list, w którym mi donosi o szczęśliwem przybyciu na miejsce przeznaczenia.“

„Gdzie ją mam szukać, gdzie ją znajdę?“ zawołał Kazimierz, podnosząc się ze stołka.

„Obecnie mieszka w Nowym Meksyko, w domu niejakiego Filemona Arbuckle, który ją przyjął jako damę do towarzystwa dla swojej żony.“

„W Nowym Meksyko?“ zawołał Kazimierz. „Spełniła się więc przepowiednia biednej obłąkanej, która nam powiedziała, że Anielcia znajduje się w amerykańskiej puszczy! Wszechmocny Boże w niebiesiech, jeżeli nieszczęśliwa kobieta objawiła nam prawdę w tym względzie i odgadła prawdziwy stan rzeczy, jeżeli Anielcia rzeczywiście została napadnięta w lesie przez dziko wyglądających rabusiów, którzy ją chcieli powiesić! — A czerwoni mężczyźni, Indjanie! — Ach, w mojej głowie kotłuje się wszystko, nie mogę pozbierać myśli! Spokój, spokój, — rozwaga! Tajemnica musi się wyświetlić.“

„Tak, aby się spełniły pańskie słowa,“ rzekła Elżbieta serdecznym tonem, „powtarzam bowiem jeszcze raz, że pan znajdzie Anielcię Dubois w Nowym Meksyko.

„Poznałem ją na pokładzie „Gloire de France,“ owym okręcie, który zatonął w morzu. Anielcia, ja i jeden żyd, niejaki Chaim Stieglic, wyratowaliśmy się na zaimprowizowanym czółnie. Później wzięliśmy do siebie jeszcze czwartą osobę, unoszoną przez fale. Wreszcie wysiadłam z Anielcią w Nowym Jorku i od tego czasu wiąże nas głęboka przyjaźń. Nieszczęście sprowadziło nas na równe drogi, a każde nieszczęście, jak to zapewne wiadome będzie panu hrabiemu, jest najlepszą spójnią.“

„Biedna Anielcia“, szepnął Kazimierz, wstrzymując łzy cisnące się do oczu, „ileś ty wycierpiała! Bob, powiedz mi, czy rozbicie okrętu sprowadziło dla was straszne męki?“

„Nie mówmy o tem. Poco wspominać i kreślić straszne sceny! — Bóg się zlitował nad nami i zaprowadził nas do bezpiecznej przystani.“

„Co robiła Anielcia w Nowym Jorku?“

„Szukała natychmiast jakiegoś zajęcie. Lecz dopiero po pewnym czasie udało się jej poznać Filemona Arbuckle. Ów młody żydek zapoznał ją z Meksykaninem i Anielcia została przyjęta jako dama do towarzystwa dla obłąkanej żony Arbuckla.“

„Odjechała więc z owym Arbuckle i jego żoną?“

„Tak, tego samego dnia opuściła Nowy Jork z rodziną Arbuckle. Zajechała szczęśliwie na nowe miejsce pobytu. — Panie hrabio, nie traćmy czasu, wsiadajmy na kolej i jedźmy do Nowego Meksyko. Filemon Arbuckle jest tam ogólnie znany; w Santa-Fee wskażę nam każdy drogę, prowadzącą do jego osady, która leży, podobno w zupełnem pustkowiu!“

„Na kolej!“ zawołał Kazimierz, zrywając się gwałtownie ze stołka, „tak, nie traćmy ani minuty czasu! — Pomóż mi spakować moje kufry! — Wyjedziemy jeszcze dzisiaj. — Przedtem jednak podaj twoją rękę! Patrz mi prosto w oczy! Oddałeś mi usługę, której nie zapomnę ci nigdy w życiu. Nie życzę sobie, byś mię uważał za twojego pana! — Jestem twoim wdzięcznym przyjacielem!“

Policzki młodej pięknej dziewczyny zaczerwieniły się jak polne maki.

„Oh, panie, jaka dobroć,“ szepnęła przebrana.

„Nie mów do mnie panie,“ lecz przyjacielu!“ — Wymów to słowo, — chcę je słyszeć z twoich warg!“

„Mój drogi przyjacielu!“ szepnęła Elżbieta swoim dziewiczym głosem, tak, że Kazimierz byłby musiał się zadziwić, gdyby w tej chwili nie był wzruszony i nie widział przed sobą wdzięcznej postaci Anielci.

„Drogi chłopcze, chodź w moje ramiona, niech ten uścisk potwierdzi naszą przyjaźń, którą żadna siła nie zdoła potargać. Jakto, ty się ociągasz? — Skromny młodzieńcze, więc sam przycisnę cię do piersi. — Chodź, niech cię uściskam!“

Ramiona Kazimierza objęły piękną postać przebranej dziewicy. Elżbieta, o ile sobie przypominała, spoczywała po raz pierwszy w objęciach mężczyzny. Co to było? Dlaczego biło jej tak gwałtownie serce? Lodowate i gorące dreszcze wstrząsały jej ciałem! Dlaczego krew biegła w żyłach, jakby nagle przemieniła się w piekielny ogień? Niemoc i słodkie upojenie opanowały jej duszę!

Elżbieta wydostawszy się z objęcia Kazimierza, była bladą jak trup. Spuściła oczy ku ziemi. Pod myśliwską bluzką wznosiło się gwałtownie jej dziewicze łono.

„Rozkażę natychmiast,“ zawołał Kazimierz, „by załatwiono nam dwa bilety. Czekaj tutaj na mnie, mój przyjacielu, — zaraz wrócę.“

Hrabia wyszedł z pokoju. Elżbieta Ravington, zostawszy sama, przycisnęła ręce do serca i zawołała głęboko wzruszonym głosem:

„Oh, mój Boże, com ja uczyniła! Nie powinnam go nigdy widzieć! Oby mi nigdy nie przyszła ta myśl, by się zbliżyć do niego! — Znalazłam przyjacie-



Na ilustracji widzimy ciekawy obrazek, przedstawiający walkę kogutów na jednej z wysp malajskich. Przyglądają jej się z zainteresowaniem zastępy młodych widzów.

la, lecz równocześnie straciłam wierną przyjaciółkę, ponieważ biedna Anielcia jest od tej chwili moją — rywalką!“

Potok łez wytrysnął z oczu pięknej młodej lady, lecz głęboki ból trwał tylko jedną chwilę. Powoli wzniosła obie ręce, jakby do przysięgi, i przemówiła głosem, podobnym do tonu zwycięstwa:

„Anielciu, nie bój się, — pozostanie dla mnie świętym ten ideał twojej miłości! A chociażbym ciągle obok niego była, to będzie zawsze dla mnie tylko przyjacielem w całem tego słowa znaczeniu. — Będę go kochać siostrzaną miłością!“

Biedna mała lady, — nie wiesz zapewne, jak ciężką jest ta siostrzana miłość do młodego, pięknego mężczyzny, gdy serce bije tak gwałtownie, gorąco i ogniście, — gdy wszystkie części twojego jestestwa zawołają: kochaj go, — weź i bądź szczęśliwą. Biedna mała lady! — — — —

CXXXIII.

Dwaj szlachetni towarzysze

Podczas, gdy powyższe zdarzenie odbywało się w hotelu „Lincoln“, doktor Morizano czatował ciągle na polu z podziwienia godną cierpliwością.

Chodził ustawicznie przed hotelową bramą i od czasu do czasu rzucał spojrzenie w stronę okien, za któremi była zapewne Elżbieta.

Doktor Morizano łamał sobie głowę nad tem, co właściwie sprowadziło Elżbietę do tego hotelu i w jakim celu wdziała fałszywe ubranie.

Postanowił w każdym razie zbadać tę sprawę. W głębi duszy poprzysiągł sobie święcie, że nie straci z oczu tej młodej dziewczyny.

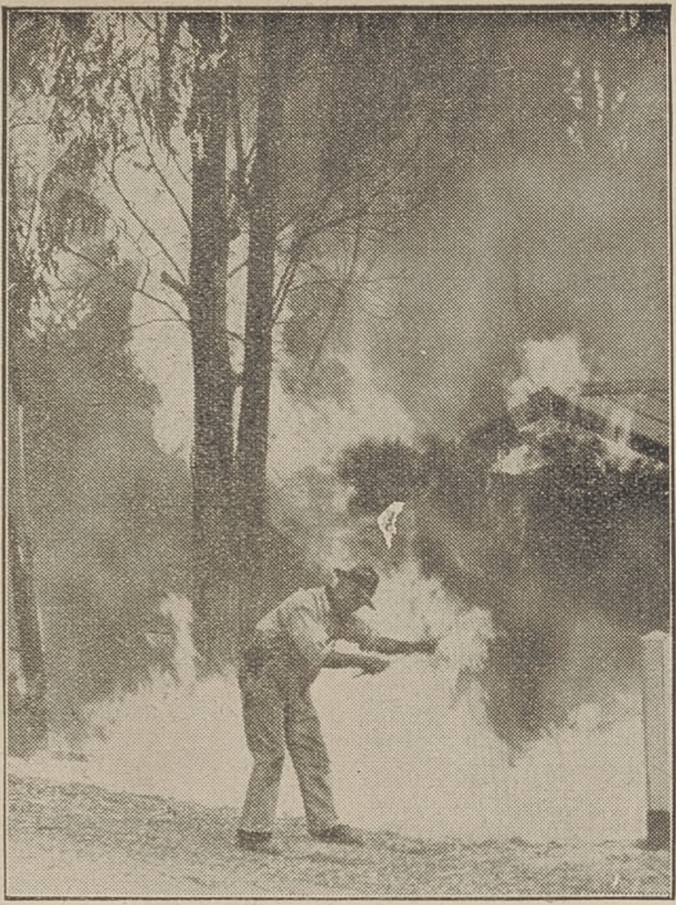
Wiemy, że doktor Morizano musiał nagle wyjechać z Niemiec. Dlatego nie mógł spieniężyć całego swojego majątku. Małą sumkę, którą zabrał ze sobą, zaszył podczas rozbicia „Gloire de France“ do skórzanego woreczka, który nosił na piersi. Było tam kilka tysięcy marek, które chciał zużytkować na wynajęcie domu przy Long-Island i na założenie w nim zakładu dla obłąkanych. Obecnie musiał załatwić różne pokątne interesa, by w ten sposób poprawić swoje materjalne położenie.

Najlepszy interes byłby dla niego zniszczenie lady Elżbiety Ravington, którą prześladowali krewni i pragnęli jej śmierci za każdą cenę!

Morizano wiedział więc dobrze, że usunięcie Elżbiety postawi go od razu na nogi i przyniesie mu wcale pokaźny majątek. A gdy dostanie owe sto tysięcy funtów szterlingów to zapewne nie przyjdzie mu trudno próbować dalej szczęścia w Ameryce.

Obecnie żałował nawet, że już wcześniej nie wyjechał z Niemiec i nie udał się do Ameryki, do tego kraju, w którym można było zarobić jeszcze pieniądze.

Tutaj było dużo bogatych ludzi, którzyby chętnie zapłacili stosy złota za usunięcie niewygodnego członka rodziny. Zwykły szubraniec, jak doktor Morizano, miał tutaj szerokie pole działania i mógł w krótkim czasie przyjść do bogactwa i znaczenia.



W Australji panowały wielkie upały w wyniku których powstały pożary puszcz. Oto jeden z obrazków, przedstawiający płonącą puszczę.

Przedewszystkiem postanowił czekać przed hotelem, dopóki się nie pokaże Elżbieta. Później będzie ją dalej śledził, aż mu się nadarzy sposobność do uwiedzenia nieszczęśliwej dziewczyny do swojego zakładu w Long-Island.

„He, patrzcie, to stary znajomy!“ zawołał ktoś nagle tuż obok Morizano.

Lekarz obrócił się, chociaż nikt nie wymówił jego nazwiska.

Po chwili wzruszył obojętnie ramionami i chciał się znowu odwrócić, ponieważ zobaczył przed sobą mężczyznę ubranego jak robotnik. Nie mógł sobie przypomnieć czy poznał kiedyś tego człowieka.

Nieznajomy wyglądał młodo. Czerwony, krótki włos pokrywał jego głowę, — blada, zużyta twarz była otoczona rudawą brodą, — piękny, zakręcony wąs nadawał tej twarzy marsowaty wyraz, z którym jednak nie zgadzały się podstępne, szaro-zielone oczy.

Mężczyzna miał na sobie niebieską bluzkę, szare spodnie. Na szyji wisiała niedbale zarzucona krawatka, która znajdowała się nie w najlepszym stanie.

„Cóż to, znacie mnie?“ zapytał rudowłosy, zbliżając się do Morizano. — „Niech pan doktor popatrzy na mnie i Przekona się, że jestem nadzwyczaj podobny do jednego człowieka, z którym pana przedtem wiązały różne wspólne sprawy.“

Lekarz, posłyszawszy swoje nazwisko, nasunął silnie okulary. Następnie obrzucił nieznajomego badawczem spojrzeniem i nagle przeszyła widocznie jego mózg jasna myśl, ponieważ zawołał:

„Ah, toś ty, Alfred Robber? — Wy w Ameryce? — Nie spodziewałem się, że was tutaj zastanę.“

„Spodziewam się“, odparł Alfred Robber; „byłbym się pierwej śmierci spodział, aniżeli, że was pozdrowię w kraju Jankesów. Doktor Morizano, — myślałem sobie, — siedzi zapewne w Niemczech w swoim wygodnym domu i prowadzi wesołe życie między obłąkanymi pacjentami.“

„Jak widzę, to wam nie zbyt dobrze się powodzi tutaj w Ameryce. Tam na drugiej półkuli byliście, Alfredzie Robberze, prawdziwym elegantem.“

„Naturalnie,“ zaśmiał się rudowłosy bandyta; „minęły dobre czasy. Powoli przyzwyczai się człowiek do nowego kraju. Skoro rozglądnę się trochę, to będę robił pewnie niezgorsze interesa. Tymczasem trzeba być cierpliwym. — Obecnie jestem bez zajęcia. W tym kraju miałem takie zajęcia, na które w Niemczech nie byłbym się nigdy odważył. Najpierw jeździłem z pieczywem; później wstąpiłem do fabryki żelaza i pracowałem jak koń; w cegielni także nie długo wytrzymałem. Lecz wszędzie zarabiałem zaledwie na życie.“

„Dlaczego opuściliście Niemcy?“ badał Morizano.

„Założyłbym się“, odparł Robber z chytrym uśmiechem, „że z tego samego co i pan. — Było mi tam nieco za gorąco. Nie miałem wcale ochoty dostać się za kratki.“

„No, co mnie dotyczy“, odpowiedział Morizano, kładąc rękę na piersi, „opuściłem dobrowolnie moją ojczyznę. Nie miałem nic do czynienia z policją.“

„Haha, tak sądzicie?“ zawołał Robber. „Wiem to lepiej. Policja zrobiła u was rewizję i znalazła tak dziwne rzeczy, że władza rozesłała za wami gończe listy. Prawdopodobnie byliście dobrze ukryci, że was jeszcze nie złapano. Jeżeli jednak was to interesuje, — patrzcie tylko! Mam przy sobie jedną gazetę, w której znajdziecie dokładny o-

pis waszej osoby. Zgadza się najzupełniej."

Morizano wziął drżącą ręką gazetę z dłoni bandyty. Rzeczywiście, to była dla niego niespodzianka, która go napełniła trwogą.

Dotychczas nie przeczuwał nawet, że wydano za nim list gończy i że policja zrobiła w jego mieszkaniu ścisłą rewizję. Lodowaty dreszcz przebiegł jego ciało na myśl, gdyby go zaaresztowano nagle.

Rzucił przelotne spojrzenie do dziennika i przekonał się o prawdzie słów Robbera. Opisano go jako przestępcę ostatniego rzędu, a niemiecka władza wzywała wszystkie policyjne organy, by go w razie pojmania odstawiono do Niemiec.

„Ha, doktorku, nieprzyjemna wiadomość, co?" szepnął drwiąco Robber. „Bądźcie spokojni! Jak długo jesteście w Ameryce, nic wam nie grozi. — Co robicie tutaj? Może potrzebujecie mojej pomocy? Wyglądacie jak zwykle nadzwyczaj elegancko, z czego sądząc, musi się wam dobrze powodzić."

„Może będę was potrzebował!" zawołał Morizano po głębszym namyśle. „Doprawdy, szczęśliwy przypadek sprowadził nas na jedno miejsce. Jeżeli jesteście jeszcze tym gotowym do wszystkiego Alfredem Robberem, to możecie zarobić sobie u mnie piękną sumkę złota."

„Do djabła, na odwadze mi nie zbywa", odparł rudy bandyta. „Zawsze jestem w stanie spełnić śmiałe włamanie, albo wbić nóż między żebra jakiemuś człowiekowi, który jest niewygodny drugiemu. — Mówcie więc prosto z mostu, macie dla mnie jaką robotę?"

„Chodźcie trochę na stronę", szepnął Morizano, „powiem wam krótko i węzłowato, o co się rozchodzi; chcę uprowadzić jedną dziewczynę, którą krewni pragną usunąć z tego świata!"

Morizano wtajemniczył Alfreda Robbera we wszystkie swoje plany, a po kilku minutach załatwili całą sprawę.

W tej samej chwili, kiedy podali sobie ręce na znak zgody, by w ten sposób potwierdzić szatańskie sprzysiężenie, wyszły z hotelu dwie osoby i udały się wolnym krokiem na ulicę.

„To ta dziewczyna", zawołał Morizano, wskazując na smukłego młodzieńca, który szedł obok wykwintnie ubranego mężczyzny.

„Więc przebrana dziewczyna?" zapytał Robber; — „prawdopodobnie podejrzywa, że ją ktoś śledzi i dlatego zapomocą przebrania chce zmylić swoje ślady! — Do djabła, co to znaczy? — Mężczyzna, idący obok przebranej dziewczyny, musi mi być znany. Ta postawa, ten chód! — Czekajcie, doktorze, chwileczkę, muszę zobaczyć tę postać."

Alfred Robber przesunął się tuż obok elegancko ubranego pana, przystanął przy sklepowej wystawie i dał znak Morizanowi, by się zbliżył.

„Nie pomyliłem się", rzekł do doktora, „znam go, — to hrabia Kazimierz Zamski."

„Poznałem go na pierwszy rzut oka", odparł Morizano, „i sądzę, że za jednym zamachem ubijemy dwie muchy. — Naprzód, Alfredzie Robberze, śledźmy naszą zwierzynę. Nie spuszczajmy ich z oka. Musimy się dowiedzieć, dokąd idą."

W przeciągu następnych trzech godzin Morizano i Robber śledzili bez przestanku Elżbietę i Kazimierza. — Gdy wreszcie powrócili do hotelu, obaj przestępcy wiedzieli przynajmniej, w jakim celu wyszedł Kazimierz z hotelu.

Kazimierz przygotował wszystko do wyjazdu. Z hotelu „Lincoln" udał się do agentury kolei „Pacific" i kupił tam dwa bilety do Santa Fee. Następnie załatwił kilka sprawunków i wstąpił do kantoru wymiany pieniędzy. Był także u handlarza broni, prawdopodobnie, by się zaopatrzyć w odpowiedni zapas strzelb i amunicji. Wreszcie nadał depeszę w agenturze telegraficznej, którą odczytał Alfred Robber, ustawiwszy się za jego plecami.

Depesza była zaadresowaną do hrabiego Zygmunta Sokolskiego i zawierała następujące słowa:

„Jestem na śladzie, — znajdę ją.
Kazimierz."

W ten sposób doktór Morizano i Alfred Robber dowiedzieli się dokładnie, dokąd chce się udać Kazimierz Zamski, by się połączyć z Anielcią. Nie było im również tajemnicą, że Elżbieta będzie towarzyszyła młodemu hrabiemu.

Gdy Kazimierz i Elżbieta powrócili do hotelu, Morizano i jego wspólnik wstąpili do małej jadłodajni przy Bowry.

Tutaj naradzali się nad dalszem postępowaniem.

Omówiwszy cały plan, wiedzieli wyśmienicie, jak mają nadal postępować.

„Dostaniemy obie osoby w nasze ręce", rzekł doktor Morizano, ściskając rękę Freda Robbera, „ja rzucę się na Elżbietę, a ty —"

„Ja pomszczę się na Kazimierzu Zamskim", odparł Alfred Robber. „Mam z nim do załatwienia mały porachunek. Nie myślałem nigdy w Paryżu, że się spotkam w Ameryce z panem hrabią."

CXXXIV.

Pan asystent

Na całym świecie nie ma samotniejszego życia nad to, które wiodą urzędnicy kolei Pacific, skazani na monotonną wegetację wśród dziewiczych lasów.

Jak wiadomo, kolej Pacific przecina północną Amerykę od wschodu na zachód. Jest to olbrzymie dzieło, które należy bezsprzecznie do największych czynów dziewiętnastego stulecia.

Kolosalne ofiary z ludzkiej siły, cierpliwości i pieniędzy stworzyły tę największą kolej na świecie.

Trzeba było przezwyciężyć tysiące przeszkód, zanim na szynach między Nowym Jorkiem a San Francisko pokazała się pierwsza lokomotywa!

Ta podróż trwa, jak wiadomo, pięć dni i trzynaście godzin; przez cały ten czas pasażerowie muszą siedzieć we wagonie, ponieważ na całej drodze nie ma dłuższych przystanków.

Od czasu do czasu staje pociąg, a lokomotywa nabiera odpowiedni zapas wody i jedzie dalej.

Pociąg kolei Pacific przebiega cały szereg północno-amerykańskich państewek. Mija z łoskotem największe i najbogatsze miasta i znika wreszcie w kalifornijskich borach, a po dwudziestu czterech godzinach wynurza się u stóp Sierra Newada.

Owa część toru stawiała niegdyś inżynierom największe trudności. Trzeba było budować dziewiętnaście tuneli, by pokonać trudności terenu.

Z powodu śnieżnych zasp pokryto kolej dachem na długiej przestrzeni.

Gdy wreszcie skończono to olbrzymie dzieło, radość panowała wszędzie, wiedziano bowiem, że na ziemi powstał nowy cud.

Lecz dopiero teraz rozpoczęły się największe trudności, z któremi musiała walczyć kolej Pacific; gdy pociągi zaczęły kursować po szynach, pokazały się nowe przeszkody, o których nie myślano nawet w pierwszej chwili budowy.

Trzeba było prowadzić krwawe i zacięte walki z Indjanami, którzy ciągle próbowali zatrzymywać pociągi i powodować wykolejenia.

System zaprowadzony przy europejskich kolejach, system budników, był niemożliwy do przeprowadzenia w pustyni. Zarząd kolei był jednak zmuszony urządzić z biegiem czasu kilka stacyj w leśnej puszczy i w Sierra Newada celem kontrolowania toru. — O takiej stacji, położonej w nieprzeniknionym lesie, będziemy obecnie mówili.

Każda stacja zbudowana jest z drzewa i posiada dwie izby. W takim domu mieszka urzędnik, który całe życie pędzi w samotności.

Każdy urzędnik musi się obowiązkowo przekonywać, czy na szynach nie leży jaka przeszkoda i czy pociąg może bezpiecznie jechać po torze podlegającym jego kontroli. Na stacji przyjmuje także towary do pewnych pociągów. Obsługuje telegraf, a w zimie musi się troszczyć o dostateczny zapas węgla.

Zarząd kolei zrobił wkrótce spostrzeżenie, że nie łatwą jest rzeczą, umieścić na tych stacjach odpowiednich ludzi. Któż ma ochotę żyć jak pustelnik? Nikt nie chce ryzykować swego życia, gdzie na każdym kroku grozi widmo śmierci z rąk Czerwonoskórców. Na taką służbę szli tylko odważni i waleczni mężczyźni. Zarząd kolei dawał sutą zapłatę, skutkiem czego znalazło się dużo takich, którzy obejmowali ciężką i przykrą służbę w pustkowiu.

Nie można wprost skreślić, jak samotnem jest życie tego rodzaju urzędnika. W niektórych tylko dniach przeleci pociąg koło jego domu, na chwilę zobaczy kilka twarzy z za okien wagonu, poczem dokoła zalega znowu niezamącona cisza.

Zresztą jest zupełnie samotny w swoim drewnianym domku. W okolicy niema często ani farmy, ani żadnej ludzkiej osady. Otaczają go tylko lasy i skały, jak daleko okiem sięgnie.

Gdy w nocy ułoży się do snu, musi być przygotowanym każdej chwili na napad Indjanów.

Najbardziej obawia się włóczęgów, którzy zwykle polują na kolejową kasę. Naturalnie urzędnik jest zawsze uzbrojony od stóp do głowy. Nad jego łóżkiem wiszą dwa rewolwery. Drzwi są zrobione z dębowego drzewa i zaopatrzone w wyborne zamki i rygle. Okiennice są podobnie sporządzone jak drzwi.

Urzędnik musi jednak, wychodząc rano do lasu, uważać ten nowy dzień jako wspaniały podarek i dziękować Bogu, że go nie zamordowano w nocy.

O dwa dni drogi od San Francisko znajdowała się taka stacja, do której wprowadzamy naszych czytelników.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca spoczywały na dachu małego domku. Przez otwarte okno wchodzi do wnętrza balsamiczna woń dziewiczego lasu.

Ku naszemu zdziwieniu widzimy w pokoju, służącym urzędnikowi jako biuro, wyjątkowo dwie osoby, mężczyznę i młodą, piękną kobietę.

Mężczyzna nosił siwą, sięgającą mu do piersi brodę. Na jego twarzy maluje się zaniepokojenie, a każdy ruch zdradza pewne znużenie. Widocznem jest, że ten mężczyzna przeszedł dużo w swojem życiu, a posada, na którą go zagnały losy, jest poniekąd jego „ostatnią stacją".

Był to urzędnik kolei Pacific w drewnianym domu pod numerem 97. Nazywał się Niklas Dombey; należał do jednego z najlepszych urzędników na całym torze. Od dziesięciu lat mieszkał w stacji pod numerem 97.

Dawno mógł ją opuścić, gdyby sobie był tylko życzył. Sam jednak uprzedzał zawsze zamysły dyrekcji, która go chciała przenieść na inne miejsce. Ile razy zaproponowano mu większą stację, która nie była tak odciętą od świata i ludzkich rozkoszy, prosił zawsze rząd, by go pozostawiono na dawnem miejscu.

Tembardziej musiała się zdziwić dyrekcja w San Francisko, gdy otrzymała przed dwoma tygodniami list od Niklas Dombey, zasługujący na dosłowne przytoczenie z powodu swojej oryginalności.

„Do zarządu kolei Pacific!

Ponieważ umrę w przeciągu czterech tygodni i jestem zmuszony od czasu do czasu zasięgnąć porady lekarskiej, dlatego byłoby bardzo pożądane, gdyby mi pozwolono na przyjęcie asystenta.

Niklas Dombey."

Dombey otrzymał odpowiedź odwrotną pocztą, że przyjęto do wiadomości jego podanie i że mu się zezwala na przyjęcie asystenta kosztem zarządu kolei.

Niklas Dombey dał następnie ogłoszenie w „Demokratycznej Gazecie" w San Francisko. Widocznie niedużo młodych ludzi miało ochotę na zamieszkanie w pustkowiu przy starym człowieku, ponieważ na ogłoszenie otrzymał tylko jeden list.

Ten list nie był pisany męskim pismem; zdradzał on rękę kobiety.

W kilka dni później wprowadziła się obca dama do drewnianej stacji pod numerem 97.

Była nawet nadzwyczaj piękną kobietą, wyposażoną wszystkimi wdziękami natury. Miała smagłą, a mimo to bujną postawę, ogniste oczy, pełne nieznanego uroku, — jej twarz odznaczała się takimi rysami, żeby człowiek pierwej się spodział spotkać taką osobę w balowej sali Nowego Jorku, albo w San Francisko, aniżeli w bezludnej pustyni, gdzie jej oczy padały tylko na ponuro wznoszące się skały, gdzie całymi dniami nie było słychać ludzkiego głosu; tajemniczy szmer lasu przerywał czasem niczem nie zamąconą ciszę, a w nocy rozlegał się dokoła ryk dzikich zwierząt.

Niklas Dombey przyjął młodą damę za asystenta, a to z tego prostego powodu, ponieważ nie mógł dostać męskiego pomocnika.

Jego pierwsze spotkanie z tą asystentką jest zanadto charakterystyczne, byśmy je mogli pominąć milczeniem.

Młoda dama weszła, gdy właśnie Niklas Dombey siedział przy telegraficznym aparacie, spełniając swoje czynności.

„Ach, pani jesteś moim asystentem?" zapytał Dombey, nie spuszczając oka z aparatu, „verry well, proszę zaczekać chwilkę. Nazwisko pani? Wprawdzie podała mi je pani w liście, ale na Jowisza, te polskie nazwiska są takie trudne do zapamiętania."

„Nazywam się Lola Zamska."

„Dlaczego Zamska? To za długie nazwisko! Wiadomo zapewne pani, że życie tej stacji płynie zupełnie monotonnie."

„Wiem o tem."

„Może pani spodziewała się znaleźć tutaj młodego urzędnika? Kobiety robią wszystko, myśląc tylko o ożeniaczce. Well, jak pani widzi, nadzieje zawiodły. Jestem już za stary do tego."

„Słyszałam o tem w San Francisko. Inaczej nie byłabym przyjęła tego miejsca."

Ta, która nadal miała spełniać funkcje asystenta w stacji pod numerem 97, była rzeczywiście znaną nam oszustką, która niegdyś, otoczona bogactwem i zbytkiem, grała rolę pani na zamku Sokolskich. Była tą samą Lolą, którą jej mąż Kazimierz Zamski i jej ojciec Zygmunt odepchnęli od siebie. Później wyjechała do Ameryki z rodziną Buchmüllera.

Początkowo miała zamiar jechać razem z Buchmüllerami do osady Filemona Arbuckle. Przekonała się jednak wkrótce, że musi zrezygnować z tego planu.

Młody Buchmüller prześladował ja swoją miłościa. Wprawdzie postępował zawsze skromnie i nie narzucał się jej w natarczywy sposób, lecz Lola zauważyła, że oczy jego ojca patrzą na nią z wyrzutem. Widocznie obawiał się, by obca przybłęda nie zabrała mu syna. Lola nie chciała wzniecać niesnaski w rodzinie, która się ulitowała nad jej losem. Dlatego postanowiła rozłączyć się z poczciwymi ludźmi.

Jednego dnia, gdy nocowali w Saint Louis, spakowała swój mały kuferek i oddaliła się, zostawiwszy tylko kilka słów z prośbą o przebaczenie jej ucieczki.

Następnie odjechała, spodziewając się, że w jednem z miast znajdzie jakie miejsce. Niestety nadzieje zawiodły ją niemiłosiernie.

Przybywszy do San Francisko, przeczytała owo ogłoszenie, w którem Niklas Dombey poszukiwał asystenta. Nie spodziewała się wprawdzie, że jej list zostanie uwzględniony, napisała go jednak i została przyjęta. — W ten sposób spotykamy znowu Lolę w puszczy w małym drewnianym domku, który miał zostać jej przytułkiem.

Lola miała smutne przeczucie. Serce kurczyło się jej boleśnie na widok tej ciszy i skromnego urządzenia stacji.

Pustelnik nie mógłby prowadzić samotniejszego życia jak urzędnicy kolei Pacific. W pokoju, przeznaczonym na biuro, stały obok telegraficznego aparatu dwa drewniane stołki, a na ścianie wisiały mapy i rozkłady kolei. W jednym rogu piętrzyły się przeróżne przedmioty, które miały odejść najbliższym pociągiem towarowym do San Francisko.

Pokój służył równocześnie za magazyn. Przez otwarte drzwi rzuciła Lola spojrzenie do drugiej izby, która była jeszcze skromniej urządzona, aniżeli biuro.

Stało tam łóżko, zbite z prostych desek; na łóżku leżały dwie poduszki, wypełnione morską trawą i wełniana derka. Na ścianach wisiały klatki, w których różnobarwne ptactwo wiodło smutne życie, napełniając izbę rozgłośnym śpiewem.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Łamigłówka geograficzna

1) — — a — — o —
2) o — — a — — o
3) — a — a — a —
4) — — e — — i a
5) — a — — a — —
6) — a — — a — a
7) — a — — i — —
8) — o — — i — a

Znaczenie: 1) miasto szkockie, 2) miejscowość kuracyjna w poł. Włoszech, 3) kraj na wyspie Borneo, 4) miasto we Włoszech, 5) jezioro w Azji, 6) port estoński, 7) miasto w Australji wsch., 8) rzeka w Polsce.

Łamigłówka liczbowa
uł. Irena Wiechujówna.

W miejsce liczb wstawić właściwe litery:

1 2 3 4 5 — jednostka wagi
1 3 4 5 2 — wyrób ślusarski
1 2 3 5 4 — w książce
5 4 5 4 3 2 1 — zielę
1 2 5 4 3 — choroba.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 15 maja br.

Rozwiązanie zadań z nr. 17 „Moich Powieści". Konikówka: Kalina — Wujek Janusz — Idealista Pałucki — Jadźka z Kujaw — Manola — Ika — Biały Murzyn — Ord — Om — Zawisza Czarny. Szarada: „Popioły".

Trafne rozwiazania nadesłali pp.: Wacław Bultrowicz — Gniezno. Dyonizy Janicki — Gniezno, „Eros". „Idealista Pałucki", Terenia Łopatkówna — Mikuszewo, Józef Studziński — Lipnica. Aurelja Sobczakówna — Przygodzice, Irena Augustyńska — Kraków, Piotr Przybylczak — Ostrowia Mazowiecka, Witolda Frankiewiczówna — Otwock. Feliks Pomirski — Śrem, Andrzej Walkowiak — Ostrów Wlkp.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Witoldzie Frankiewiczównie z Otwocka i „Erosowi".

HUMOR

W składzie galanteryjnym

— Bardzo gustowny i ładny krawat... nadaje się do każdego ubrania...
— Kiedy ja mam tylko jedno ubranie!

W teatrze

Dyrektor teatru: — Dlaczego Iksiński nie występuje dziś w roli „pijanego gościa"?
— Bo jest urżnięty jak bela!

Pochwała

— Tu jest świetne powietrze. Proszę sobie wyobrazić, gdy przybyłem tu po raz pierwszy ważyłem 20 kg, a teraz ważę 70.
— A oddawna pan tu przyjeżdża?
— Od 10 roku życia.

Praktyczna gosposia

— Proszę pani — mówi służąca Kasia do wiecznie bujającej w obłokach pani domu — trzeba kupić nową szczotkę do zamiatania. Już wszystkie włosy ze starej wypadły.
— A to po co? — decyduje pani domu — posmaruj starą tym cudownym środkiem na włosy, który niedawno pan kupił, to na nowo wyrosną.

Zupełnie to samo

— Ja prowadzę bardzo solidne życie. Wracam do domu wcześnie, a potem siadamy z dziećmi i z żoną przy kominku i ja opowiadam różne bajki!
— To prawie tak samo jak ja! Ja też wracam do domu bardzo wcześnie. Zwykle już o świcie. Dzieci nie mam, ale też muszę żonie opowiadać różne bajki, bo koniecznie chce wiedzieć, gdzie spędziłem noc!

Pomysłowy

Mój kuzyn założył restaurację, wprawdzie trzeciorzędną, ale punkt znakomity.
— Pod jakim względem?
— Bardzo niedaleko Pogotowia Ratunkowego.

Na letnisku

Turysta: — Czy mógłbym otrzymać dwa ręczniki?
Gospodyni: — A, to pan chce zostać przez całe lato?

W podróży

— Niech sobie panie wyobrażą, w Afryce elegantki murzyńskie zużywają masę sadzy angielskich.
— A to na co?
— Zamiast pudru.

To byłoby doprawdy oryginalne

Do sklepu wchodzi pewien pan i prosi, aby mu pokazano ładny pullower.
— Tylko prosiłbym coś ładnego... coś oryginalnego... czego nikt nie ma...
— W takim razie — radzi sprzedawca — w takim razie może pan weźmie coś nie na raty, lecz za gotówkę, to byłoby w dzisiejszych czasach oryginalne i tego nikt nie ma.

Dyskusja

— Muszę ci powiedzieć, drogi przyjacielu, że jesteś osłem!
— Tak — zastanawia się drugi — a czy jestem twoim przyjacielem, dlatego, że jestem osłem, czy też jestem osłem, dlatego, że jestem twoim przyjacielem?

Dwa listy

Pan Limonensaft otrzymał list od swego krawca:
„Szanowny Panie Limonensaft! Dziwię się bardzo, że dotychczas nie otrzymałem od Pana należności za garnitur.
Aprikozer".
Limonensaft odpisuje:
„Szanowny Panie Aprikozer! Niech się Pan nie dziwi, że nie otrzymał Pan dotychczas pieniędzy, bo ja ich nie wysyłałem.
Limonensaft".

U fryzjera

— Jak mam panu przyciąć włosy?
— Bez wyjaśnień strategicznych o sytuacji w Abisynji!

Da mu radę

— Jest tak na pana zawzięty, że trenuje w boksie, obiecując, że zbije pana na kwaśne jabłko...
— Dam mu radę! Od dzisiaj zaczynam trenować w biegu na przełaj!

„Pociecha" pana szefa

Nowy biuralista do swego szefa:
— Dziesięć razy zsumowałem te pozycje...
— Bardzo dobrze, młodzieńcze, bardzo dobrze.
— A oto dziesięć różnych rezultatów...

W Sowietach

W Moskwie wybuchł pożar. Wiele budynków legło w gruzach i zgliszczach.
— Gdy będziecie tę dzielnicę odbudowywać — zwrócił się pewien inżynier do jednego z urzędników komunalnych — to dam wam doskonałą radę. Do pokrycia dachów nie używajcie ogniotrwałych dachówek, tylko raczej zapałek krajowego wyrobu.
— A cóż to znowu za pomysł?
— Nadzwyczajny. Nasze zapałki mają, jak wiadomo, tę właściwość, że się nie chcą palić.

Pod gazem

Zagazowany jegomość z cierpliwością i uporem puka w słup latarni gazowej, mrucząc od czasu do czasu:
— Ot... ump... worzysz... ump,,, do stu piorunów!
Podchodzi policjant i zwraca mu uwagę:
— Poco pan puka, przecież tam nikogo niema!
— Jakto niema... ump...? nie widzi pan, panie władza, że na górze świeci się?

Więc co ostatecznie?

Lekarz: — Płuca są w złym stanie; wyżyje pan z niemi najwyżej pół roku. Zato serce o wiele lepsze, będzie pan z niem napewno parę ładnych lat żył jeszcze.

Ładna pociecha!!

Ona: — Bardzo mi żal, ale nie wyjdę nigdy zamąż za rudego.
On: — Niech mi pani pozwoli zgłosić się za rok.
Ona: — A cóż się zmieni po roku?
On: — Mój fryzjer twierdzi, że za rok będę łysy!

Cenny dokument

Do pewnego miljonera, zbierającego rzadkie pisma i stare druki, przychodzi mizernie wyglądający człowieczyna i mówi:
— Jeśli mi pan da zaraz dziesięć złotych, to pokażę panu dokument, jakiego nawet za połowę swego majątku nie mógłby pan dostać!
Zaciekawiony miljoner daje mu dziesięć złotych. Mizerny człowieczyna pokazuje mu świadectwo ubóstwa.

Zamienił się

— Jak pani córka mogła wyjść zamąż za takiego rozhukanego mężczyznę?
— Kiedy za niego wychodziła, to jeszcze taki nie był...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie